

01/2020

EQUESTRIA
TIMES

35

*Pegasister renesansu i kucykowe baśnie
Wywiady z Panienką Rarity i Rutkotką*

*Teen Ponies: Go
Czyli Cahan broni „Pony Life”*

*To już jest koniec, ale co dalej?
Luźne rozkminy o przyszłości fandomu*

Witamy wszystkich w Nowym Roku!

Mamy nadzieję, że święta upłynęły Wam spokojnie, a Sylwestra spędziliście dobrze się bawiąc w gronie przyjaciół. Życzymy Wam, aby rok 2020 był jeszcze lepszy niż poprzedni, 2019, rok.

Tymczasem oddajemy w Wasze ręce kolejny numer Equestria Times. Znajdziecie w nim ocenę nowej produkcji od Hasbro – MLP: Pony Life – autorstwa Cahan, a także przeprowadzony przez nią wywiad z Rarity, były administratorką For Glorious Equestria i fandomową grammar nazi. Natomiast z rzeczy niefandomowych możecie przeczytać recenzję „Krainy lodu 2”, napisaną wspólnie przez Sosnę oraz Gray.

Czekamy również na Wasze komentarze oraz przemyślenia dotyczące zawartości naszego czasopisma, a tymczasem serdecznie zapraszam do lektury!

»Solaris



Redaktor Naczelny – Cahan

Redaktor wicenaczelny – Moonlight, Solaris

Redaktorzy – M.C., Gray Picture, Ghatarr, Coldwind, Victoria Luna, Malvagio

Korektorzy – Magda B, Midday Shine

Dział techniczny – Macter, Porcelanowy Okular, Sosna, Catkitty

My Little Pony Friendship is Magic i Hasbro są zastrzeżonymi znakami towarowymi Hasbro Inc.
Redakcja Equestria Times nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam zamieszczonych w magazynie.

Spis treści

RECENZJE	
The Mare Who Once Lived on the Moon.....	5
MANUFAKTURA	
Fallout Equestria: Homelands.....	7
PUBLICYSTYKA	
Rozkminy po zakończeniu serialu.....	10
Wywiad z Gretą (Rutkotką).....	12
My Little Pony: Pony Life.....	15
Niestandardowa relacja z KPM 18.3.....	18
z trzech różnych perspektyw.....	26
Jak naprawić altankę, czyli kiedy Shiny poznał Caddy.....	28
Wywiad z Rarity.....	28
POZOSTAŁE	
Queen's Wish.....	32
Recenzja - Kraina Lodu 2.....	34
ARTYSZYCZNY MIX	
Nowy ro(c)k...?.....	36



facebook

mlppolska

Wykorzystano prace autorów:
MacTavish1996, 90Sigma

E for glorious EQUESTRIA



Największy w Polsce serwis
o tematyce My Little Pony

nowinki

fanarty

fanfiki

felietony

i wiele innych



<http://www.fge.com.pl/>



[Romance][Sci-Fi][Slice of life]

The Mare Who Once Lived on the Moon

Autor: MrNumbers

Steampunk to wspaniały klimat. Błyszczące mosiądzem maszyny parowe, wyszukane stroje, rozwój wielu dziedzin nauki i cała masa innych drobnych elementów tworzących niepowtarzalny klimat wieku pary. Pokusiłbym się nawet o stwierdzenie, że wystarczy samo słowo Steampunk, by każdy mógł przywołać sobie przed oczyma odpowiedni obraz. Ten styl nie jest jednak często spotykany w fanfikach. Jednym z nielicznych w tej konwencji jest *The Mare Who Once Lived on the Moon*. I to on będzie przedmiotem tej recenzji.

» *Sun*

Zacznijmy może od krótkiego opisu, dla osób, które nie czytały.

Twilight Sparkle, nadworny filozof księżniczki Celestii i wykształcona w wielu dziedzinach klacz, tworzy kolejne, genialne urządzenie: wielki, wspomagany parą teleskop. Dzięki niemu jest w stanie przyjrzeć się obiektom kosmicznym, które dotychczas znajdowały się poza zasięgiem obserwacji. Już pierwszy zaobserwowany przez nią obiekt drastycznie zmienia życie jej i wielu innych kucyków, z którymi dopiero się zetknie. W tym jej „nowych”, znanych z serialu przyjaciółek. Tym obiektem była tytułowa klacz żyjąca od setek lat na księżycu. Sama.

Niełatwo jest powiedzieć coś więcej o wydarzeniach w fanfiku bez podawania zbyt wielu spoilerów, które mogłyby zepsuć komuś lekturę. A tego lepiej

uniknąć. Sama fabuła może nie jest najbardziej wyszukana, pełna intryg i niespodziewanych zwrotów akcji. Powiedziałbym, że wprost przeciwnie. Prowadzona jest bardzo logicznie i konsekwentnie, a decyzje i działania bohaterów wynikają z tego, co się dotychczas wydarzyło. I choć potrafi to być przewidywalne, to w żadnym razie nie jest złe. Po wiem więcej, to doskonale współgra z pozostałymi elementami fanfika od samego początku aż do wielkiego finału.

Jeśli zaś chodzi o jej umiejscowienie względem serialu, to choć jest to alternatywna historia, toczy się trochę przed pierwszymi odcinkami pierwszego sezonu. Twilight istnieje i jest dorosła. A w zasadzie jest prawdopodobnie w tym samym wieku, w którym była w pierwszym odcinku pierwszego sezonu. I oczywiście nie poznała jeszcze żadnej ze swoich serialowych przyjaciółek. Celestia samodzielnie włada Equestrią, a księżniczka Luna wciąż pozostaje na księżycu.

A skoro już mowa o pojawiających się tu postaciach, to niewątpliwie są bardzo mocną stroną tego fika. Moim zdaniem nawet najmocniejszą stroną. I choć mamy tu do czynienia z alternatywną wersją Equestrii (bardziej parową), to spotykamy tu dobrze nam znane kucyki w trochę innych rolach. Bardziej adekwatnych do świata przedstawionego. Na przykład Applejack hoduje jabłka i dorabia sobie po godzinach jako spawacz i złote kopyto. Rainbow Dash ma nudną robotę w biurze, odkładając pieniądze na ekspedycję do niezbadanej dżungli.

Rarity mnóstwo czasu spędza w pałacu, słuchając, plotkując, intrygując, swatając i wpływając. Ubrana oczywiście w piękną suknię i ze starannie uczesaną grzywą. A do tego pali cienkie papierosy. Zapewne bez filtra. Zaś Shining Armor dowodzi armią podbijającą ziemie dzikich zebr. Nawet księżniczka Celestia została zmieniona w interesujący sposób. Chłodna, zdystansowana, budząca respekt wśród poddanych, graniczący ze strachem. Ale to nie jedyni, którzy doczekali się mniejszych lub większych zmian względem serialu. W zasadzie każda z licznych postaci znanych z kolorowego ekranu została zmodyfikowana w taki sposób, by wpasować się w nowy, bardziej parowy świat.

Sam świat też doczekał się licznych modyfikacji. Nie tylko rozwinęła się technologia parowa, ale zaczęły pojawiać się pierwsze prace badawcze i pierwsze urządzenia elektryczne. To oczywiście stanowi pole do bardzo ciekawych odniesień do naszego świata. Do tego praca źrebiąt jest jak najbardziej normalna, a o godnych warunkach i ubezpieczeniu zdrowotnym nikt nie słyszał. Widać też rozwarstwienie społeczne. Są kucyki biedne, które mimo ciężkiej pracy ledwo są w stanie przeżyć, i oczywiście kucyki bogate, skupione na swym bogactwie i luksusach. Nawet magia doczekała się olbrzymich modyfikacji i pewnego usystematyzowania. Rządzi się pewnymi prawami, dzięki czemu Twilight nie jest już taka potężna, by teleportować się do wychodka, kiedy tylko ją przycisnie. A dzięki temu autor mógł stworzyć kilka ciekawych problemów i nawet bardzo interesujące rozważanie. Zadbął nawet o taki detal jak twierdzenie (słuszne w jego uniwersum), że kosmos wypełniony jest eterem. I tenże eter ma wpływ chociażby na magię.

Pozostało jeszcze wspomnieć o języku, gdyż fanfik jest napisany po angielsku i nie ma tłumaczenia. Porównując go z innymi fanfikami, które miałem okazję czytać w takiej wersji, muszę przyznać, że nie jest on najprostszym. I choć brzmi on bardzo dobrze, to nieraz musiałem sięgać po słownik, by spojrzeć na jakieś słówko, które było mi kompletnie obce, czy przeczytać jakieś zdanie kilka razy, by zrozumieć jego sens. Sprawy nie ułatwia też fakt, że Applejack mówi z drobnym akcentem, a Rainbow potrafi czasami gadać w nieco niestandardowy sposób (Pirate Dash). Do tego dochodzą liczne rozmowy bohaterów

o fizyce i naukach pokrewnych, więc pojawia się trochę zwrotów typowych dla nauki. Nie jest to wprawdzie fizyka kwantowa, lecz takie momenty mogą wymagać od czytelnika trochę więcej uwagi. Jednak nie przeszkadza to w lekturze fanfika.

Podsumowując, *The Mare Who Once Lived on the Moon* to kawał bardzo dobrego i wciągającego fanfika, w którym ciężko się doszukać słabych stron. Mamy tu bardzo dobre, jeśli nie świetne kreacje postaci. Nie sposób się przyczepić do żadnej z nich. Mamy naprawdę dobrze stworzony świat, z uwzględnieniem wielu detali budujących klimat. Mamy właśnie tenże steampunkowy klimat, który aż wylewa się z każdej strony tego fanfika. No i mamy fabułę, która spaja wszystko w całość, trzymając poziom od pierwszej strony do w zasadzie samego końca. Wszystkie te elementy tworzą jedną z najlepszych opowieści, jakie czytałem, jeśli nie najlepszą. Gorąco polecam każdemu.

Jako ciekawostkę, warto wspomnieć, że fanfik doczekał się nawet własnego, [animowanego traileru](#). Warto go obejrzeć, nawet jeśli moja recenzja nie przekonała do lektury.





[Mature][Dark][Crossover][Adventure][Violence]

Fallout Equestria: Homelands

Autor: Somber

Nigdy nie przypuszczałam, że sięgnę po sequel *Fallout: Project Horizons*. Między innymi dlatego, że nie czytałam *Horyzontów* i raczej nie zamierzam tego nadrobić. Są za długie, a ja przecież nie znam angielskiego, prawda? Poza tym słyszałam o tym fiku, że jest... rozczarowaniem – zaczyna się dobrze, ale z czasem zmienia się w animu szajs. Ale wracając do tematu *Ziem Domowych* (tak, wiem, że to jest *Opad Konioziemia: Ojczyzna*), to pewnego dnia na *Discordzie Klubu Konesera Polskiego fanfika* załął się Dolar, który zaczął to czytać i polecił. A ponieważ lubię zebry i miałam ochotę na fika o ich lore, to sięgnęłam i przepadłam.

» *Cahan*

Homelands to *Fallout* skupiony na pasiastych koniakach i na tym, jak wygląda sytuacja w ich ojczyźnie. Aktualnie fanfik liczy dwadzieścia jeden długich rozdziałów i jeszcze nie został ukończony. Główną bohaterką jest klacz ziemna *Scotch Tape* znana z *Project Horizons*, a towarzyszą jej zebry *Majina* i *Pythia* oraz półsmoczyca *Precious*. Co prawda później zawierają nowe znajomości i skład drużyny się zmienia, ale nie zamierzam Wam spoilerować. Ale jego siłą nie są (zwłaszcza na początku) postacie, tylko sam świat, który został bardzo ładnie wykreowany. To opowiadanie to opadowy powiew świeżości, bo ojczyzna zebra nie przypomina Pustkowie. Odważyłabym się stwierdzić, że to taki *Fallout* fantasy, w którym jest więcej magii.

Bo jakby to powiedzieć... Zebrinica jest zielona, zebry uprawiają swoje poletka, mają też miasta będące czymś innymi niż ruiny, a same megaczary, którymi oberwały, to coś ciekawszego niż magiczne bomby atomowe. Poza tym pasiaki mają swoją własną, szamańską magię, która jest ważnym elementem opowiadania. To miła odmiana po spluwach, technice i technomagii znanych z tradycyjnych *Opadów*. Poza tym dobrze jest lepiej poznać zebry punkt widzenia.

Wracając do *Project Horizons* i animu syfu rodem z gier oraz chińskich bajek (na które również cierpiał oryginalny *Fallout: Equestria*), to w *Homelands* prawie tego nie ma. W dużej mierze jest to kwestia różnic, które opisywałam wcześniej. Ba, dzięki magii to wszystko ma więcej sensu. Fiki spod szyldu *Opad* zawsze cierpiały na kalkę mechaniki rodem z gier i to ssało, nie oszukujmy się. Tak że, jeśli zawsze irytowały Was te wszystkie *falloutowe* rzeczy, to warto dać szansę *Ojczyźnie*, która świetnie się broni jako samodzielny twór.

Fabula jest prosta – *Pythia* (zebra z plemienia *Starkatteri*) odkrywa w rzeczach matki *Majiny* (zebra z plemienia *Zencori*) kawałek papieru z rozkazem napisanym przez *Ostatniego Cezara* i skierowanym do *Najwyższego Szamana*. Krótki komunikat, brzmiący: „*Oślepie Oko Świata*”. Bohaterki nie wiedzą co to znaczy, ale chcą się dowiedzieć, czym jest *Oko Świata*, gdzie się znajduje i czy zostało oślepione. Dlatego wyruszają w drogę do *Roam*, stolicy *Zebrinicy*. We czwórkę, bo wszystkie są

nastolatkami (14-15 lat), które nie mają czego szukać w Equestrii, poza pamiątkami, które tylko rozgrzebują rany z przeszłości.

I tak zostajemy porwani przez przygodę, by wraz z bohaterkami odkrywać ten nieznaną nam świat. Zaczyna się wręcz pretekstowo, a w międzyczasie odkrywamy grzechy z przeszłości, spiski teraźniejszości i magię, dużo magii. Ale właśnie, co do tej przeszłości – standardowo Fallouty kręcą się wokół tego, co robiły Mane 6, księżniczki i inni bohaterowie kanoniczni. Homelands to teatr OC-ków. Już od dawna się zastanawiałam, jak działałyby Fallout mocno oderwany od powszechnie znanych i lubianych postaci. Ale wiecie co? Działa! I mnie osobiście przyniósł nawet więcej frajdy niż oryginał.

Bohaterowie początkowo wydają się mało ciekawi, ale to się zmienia wraz z kolejnymi rozdziałami, kiedy sprawy coraz bardziej się komplikują, a nasze heroiny dorastają. Jeśli chodzi o postaci poboczne, które na początku wydają się niezbyt ważne, to... Wow. Człowiek sobie myśli, że pojawią się i nigdy nie wrócą, a tu niespodzianka, bo parę rozdziałów później dostają własne wątki i akcja się toczy, mimo że główna paczka jest gdzieś daleko. A ich kreacje i historie poboczne bardzo przypadły mi do gustu, szczególnie że nawet rzeczy, które wydają się zapychaczami, nagle pokazują swoje drugie oblicze.

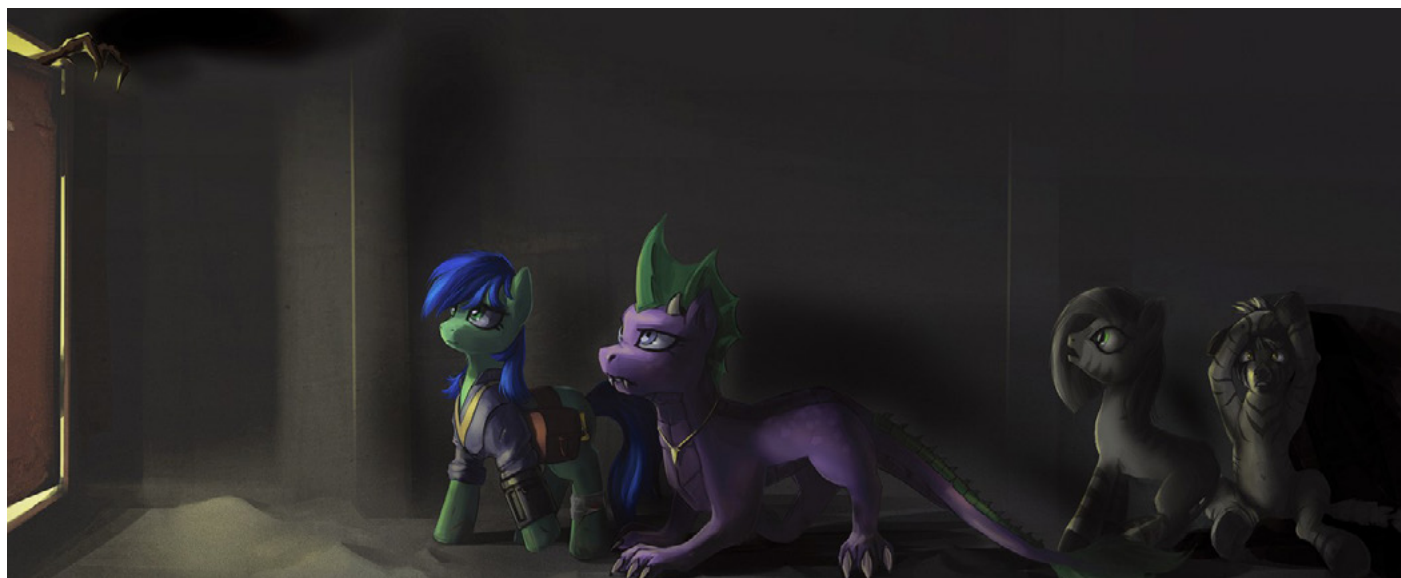
Ale przede wszystkim urzekło mnie światotworzenie. Nie powiem, by Somber był artystą, określiłabym go raczej mianem dobrego kopisty i rzemieślnika. Autor bierze różne motywy i wykorzystuje je do swoich celów – i robi to w zgrabny oraz ciekawy sposób, który nie wali chamsko po oczach „ZOBACZ, JANUSZ, TEN MOTYW BYŁ TU I TU! NAWIĄZANIA!!!”. Podoba mi się też to, jak zebrze

plemiona różnią się od siebie. Na początku fanfika pojawia się zdanie, które mówi mniej więcej, że zebrzy poszczególnych ras różnią się od siebie jak kuc ziemny od jednorożca. I jest w tym sporo prawdy.

Homelands nie jest najbrutalniejszym Falloutem ani najbardziej zboczonym, ale i tak nie przeszedłby w dziale ogólnym na MLPPolska. Przemoc jest, i to w dużych ilościach, aczkolwiek opisy nie są na niej skupione. Ale śmierć ma znaczenie. To nie są łupieżcy robiący za mobki do expienia. Znajdą się tu również elementy horroru, i to dobre. Opad Konioziemia: Ojczyzna momentami miażdży klimatem i oddziaływaniem na psychikę czytelnika.

Czy to znaczy, że jest to fanfik idealny? Oczywiście, że nie. Przez większość czasu można to czytać i jest fajnie, aż nagle trafi się akapit tak rakowy, że poczułam się, jakby ktoś mnie walnął w twarz. Dzięki niech będą Bogini, że ostatni taki fragment widziałam w rozdziale siódmym, od którego fabuła przyspiesza i wszystko robi się ciekawsze. Ale do tego czasu trzeba przecierpieć m.in. wspomnienia Scotch Tape o tym, że jest dorosła, bo uprawiała SEKS. Zważywszy na jej wiek, to dla mnie to było dość niesmaczne. Ale jakoś czytanie o życiu erotycznym nieletnich istot jest niezbyt przyjemne.

Inną wadą jest sam początek opowiadania, który brzmi trochę, jakby zupełnie płaskie i nieciekawe bohaterki dostały jakiegoś głupiego questu i na niego wyruszyły. Ale cóż, mówi się, że nieważne, jak mężczyzna zaczyna, tylko ważne, jak mężczyzna kończy. Mam nadzieję, że Somber wyciągnął naukę z PH i tym razem nie schrzani.



Lubisz czytać fanfiki i o nich dyskutować?

Chciałbys zrobić coś dla literackiego półświatka fandomu?

Masz trochę wolnego czasu i nie wiesz jak go zagospodarować?

Klub Konesera szuka nowych moderatorów.

Mile widziane są osoby ogarnięte, potrafiące podtrzymywać dyskusję.

O więcej informacji możecie zapytać na serwerze Klubu.

Klub Konesera
Polskiego Fanfika



DISCORD



Rozkminy po zakończeniu serialu

Stało się. „My Little Pony” miało już swój ostatni odcinek. W związku z tym chciałabym podzielić się swoimi (lekko spóźnionymi) przemyśleniami odnośnie serialu, jego zakończenia i generalnie przyszłością tego całego bajzlu, który nazywamy fandomem.

» *Gray Picture*

Muszę się przyznać, że żywię pewnego rodzaju sentyment do tego serialu. Zaczęłam go oglądać, gdy miał swoją polską premierę, a byłam wtedy jeszcze gówniakiem chodzącym do podstawówki. Dodam, że teraz całkiem niedawno zaczęłam studiować (a przynajmniej udawać, że ogarniam studiowanie, ale mam wrażenie, że to wszyscy tak tylko udają, więc chyba nie jest źle). W jakiś sposób bajka o kolorowych konikach zdołała zatrzymać mnie przy sobie przez następne osiem lat. A jakby nie patrzeć, osiem lat to spora część mojego życia. Być może nie byłam tak samo zainteresowana oglądaniem jak przy pierwszych sezonach, ale wciąż je oglądałam.

Być może dość mocno przesadzę, jeżeli powiem, że „My Little Pony” to idealna kreskówka, lecz trzeba przyznać, iż ma w sobie to coś, co pozwoliło jej przyciągnąć i utrzymać duże grono fanów spoza pierwotnego targetu. Tego czegoś zdecydowanie brakowało poprzednim generacjom. (Ponieważ to mój tekst, to pozwolę sobie poświęcić ten nawias na autoreklamę, gdyż wcześniejsze odsłony „My Little Pony” zostały przeze

mnie opisane w cyklu „Podróż przez generacje”. Być może dam linki do odpowiednich numerów gdzieś w komentarzu pod tym numerem, lecz mam pamięć złotej rybki, więc jest duża szansa, że zapomnę. Bardzo duża.) Ale czym jest to „coś”? Według mnie, nie jest to jedno coś, a kilka „cosiów”.

Jako pierwszy z nich wymieniałabym ten najbardziej rzucający się (dosłownie) w oczy. Mianowicie - jest to dość ładna kreskówka. Dobra, nie jest to na pewno główny powód, ponieważ wiele wątpliwie przyjemnych wizualnie kreskówek jest popularnych. Lecz trzeba przyznać, że wygląd animacji jest czymś, co robi to całe „pierwsze wrażenie”. A do tego w późniejszych sezonach widać poprawę w wyglądzie, mimo że już pierwszy sezon był bardziej niż zadowolający.

Innym, zapewne dużo ważniejszym powodem jest to, że to zadziwiająco wciągająca kreskówka. Człowiek sobie myśli z początku, co może być fajnego w kucykach uczących się o przyjaźni, ale okazuje się, że oprócz tego, już w pierwszym odcinku te pastelowe pierdoły muszą uratować całą swoją magiczną krainę przed zagładą. Jak to zrobią, skoro to tylko głupiutkie koniki? I w ten podstępny sposób jakiś czas później orientujesz się, że jesteś za połową sezonu, ale teraz z podobnym zaangażowaniem oglądasz odcinek, w którym te same pastelowe kucyki przejmują się zbliżającym balem. Jak to się stało? Pewnie nigdy się tego nie dowiesz.

Kolejnym ważnym „cosiem” jest to, że postacie mają zadziwiająco rozbudowane charaktery jak na bajkę, która została stworzona z myślą o małych dzieciach. A do tego wraz z kolejnymi odcinkami rozwijały się. Może czasem zdecydowanie za dużo razy dana lekcja musiała być powtarzana, lecz koniec końców udało mi się czegoś nauczyć.

Ale mimo to, że naprawdę lubię ten serial, to poniekąd też cieszę się, że się skończył. Może właśnie dlatego, że postacie się rozwinęły na przestrzeni sezonów, serial doszedł do momentu, że coraz mniej można byłoby zrobić z głównymi bohaterkami. Oddanie większej ilości czasu antenowego postaciom drugoplanowym (ekipa Trixie, Starlight i Discord to czyste złoto) czy wprowadzenie motywu przegód uczniów Szkoły Przyjaźni dało serialowi trochę takiego powiewu świeżości, ale na dłuższą metę też robiło się dość wtórne.

Co do samego zakończenia, to muszę przyznać, że najbardziej zaskoczyła mnie jedna rzecz. Kiedyś dałabym sobie rękę uciąć, że przyjaciółki Twilight też w końcu zostaną alikornami.

I co? Teraz byłabym bez ręki. Choć myślałam tak głównie dlatego, że widziałam w takim rozwiązaniu wręcz doskonały powód do wydania nowej kolekcji zabawek przez Ha\$bro. Ale przyszłość bohaterki, która została zaprezentowana w ostatnim odcinku całkiem mi się podoba. Każda z nich poszła nieco inną drogą w życiu. Żrebię Pinkie jest dość urocze. A po zastanowieniu uważam, że posiadanie dziecka całkiem do niej pasuje. Rainbow i Applejack najwyraźniej są parą, co też jest dość fajne. Co prawda pokazane to zostało w taki sposób, żeby tylko to zasugerować, ponieważ najwidoczniej nie należy narażać się na nieprzychylnie opinie konserwatywnych rodziców. Rarity za to najpewniej została singielką, pewnie bardziej poświęciła się karierze

niż związkom, co w mojej opinii do niej dość pasuje. Jedynym, co to mi nie pasuje, to potwierdzenie shipu Fluttershy i Discorda. Nie żeby nie miało to całkiem sensu, po prostu jakoś mi nie leży.

Wraz z nieuchronnie zbliżającym się końcem serialu, wśród fandomu zaczęły się pojawiać pytania. Czy to już ta pora, że ten żywy trup, jakim jest fandom, w końcu umrze? Czy zakończenie serialu oznacza, że bronies będą musieli wyjść ze swoich piwnic i zacząć być przydatnymi członkami społeczeństwa? A może nawet wyjdą z przegrwy? Czy świat, jaki znamy, zbliża się ku końcowi? No, może to ostatnie to jednak nie. Ale co do poprzednich. Czy fandom umrze? Jakbym była złośliwa, to powiedziałabym, że fandom jest martw od dawna i nic mu nie pomoże, ale nie jestem złośliwa. Dużo zależy od Hasbro w tym momencie. A dokładniej od tego jak szybko wydadzą nową generację oraz czy będzie ona zdatna do oglądania. W przeciwnym wypadku zainteresowanie wokół G4 i kucy będzie powoli słabo, a bronies przerzucają się na inne fandomy, ponieważ z przegrwy nie ma wyjścia.





Wywiad z Gretą (Rutkotką)

Witam wszystkich plastycznych miłośników w wywiadzie z kolejną przedstawicielką naszego polskiego, fandomowego, artystycznego grona! Tym razem mam zaszczyt rozmawiać z przesympatyczną osobką z wyjątkowo milusią kreską. Mówię o Grecie. Aktualnie na DA można znaleźć ją pod nazwą Rutkotka, niegdyś Grethzky. Mam nadzieję, że uda nam się przedstawić słownie odrobinę tej baśniowej magii, jaka bije od jej obrazków.

» *Moonlight*

Moon: Witaj, Greto! Może na początek opowiesz mi trochę, jak zaczęła się Twoja przygoda z kucykami i fandomem?

Greta: Moja przygoda z kucykami zaczęła się na dobre kiedy... zaczęłam grać w grę Battlefield. Dlaczego? Wtedy - zupełnie dla zabawy - moim nickiem na polu bitwy był „fluttershy_yay”. Kiedy zobaczyłam, jak wiele osób na serwerach reagowało na mój nick (Reakcje typu „ooh hello fluttershy!”, „battlefield is not a great place for a pony!”), zdecydowałam się zgłębić temat kucykowego uniwersum. Później już serial i postacie zafascynowały mnie tak bardzo, że stałam się prawdziwym fanem.

M: Trwa już dziewiąty sezon serialu. Czy na przestrzeni tych wszystkich odcinków, pojawiła się jakaś postać, która skradła Twoje serce?

G: Ciężko mi wybrać jedną, jedyną postać, ale na pewno zastrzykiem pozytywnej energii jest gryfka – Gabby. To ona stała się jedną z moich ulubionych postaci na przestrzeni tylu odcinków.

M: Wprost uwielbiam Twoje ponyfikacje postaci z książek fantasy. Masz może postaci z innych uniwersów, które chętnie przeniosłabyś do Equestrii? Jeśli tak, to jakiej byłyby rasy?

G: Dobre pytanie! Zaczęłam się zastanawiać czy jest coś, co czytam poza fantasy. Najchętniej przeniosłabym do Equestrii bohaterów książek Andrzeja Sapkowskiego. Byłoby wręcz genialne opisanie lub narysowanie bohaterów z wiedźmińskiego świata, które trafiają do pudrowo-cukierkowej rzeczywistości, jaką jest Equestria. Jestem pewna, że kiedyś przyjdzie mi usiąść i narysować te postaci, więc nie będę zdradzać, kim one będą.

M: Czas na nieco bardziej artystyczne pytanie. Jak długo parasz się mistyczną sztuką rysowania?

G: Rysowaniem interesuje się od najmłodszych lat. Zaczęłam rysować swoich ulubionych bajkowych bohaterów, czyli Króla Lwa. Z czasem pojawiało się znacznie więcej postaci.

M: Podobno początki są najtrudniejsze. Co sprawiało Ci najwięcej problemów, gdy zaczynałaś rysować kucyki?

G: Och, cudowne żyrafie szyje... Bardzo, ale to bardzo wydłużałam je wszystkim kucykom. Najgorsze było to, że zauważyłam to, kiedy już skończyłam swoje dzieło... W momencie, kiedy zdałam sobie sprawę, że 40% kucyków, jakie narysowałam, mają swoje korzenie w afrykańskich żyrafach - przykładam większą wagę do tego, aby bardziej zwracać uwagę na to, co zrobiłam źle.

M: Pociągnijmy to dalej. Dokładasz się swoimi pracami do fandomowego dorobku już ładnych parę lat. Jesteś zadowolona ze swojego postępu i aktualnego wyglądu swoich rysunków? Co teraz myślisz o swoich pierwszych próbach?

G: Zawsze jest coś, w czym można być jeszcze lepszym i na pewno w przypadku moich prac takim elementem jest dopracowanie detali oraz spróbowanie narysowania czegoś bez lineartu. Patrząc na swoje pierwsze prace, jakie publikowałam na Instagramie i na to, co robię teraz... jestem z siebie dumna. Jestem przykładem, że praktyka czyni fach lepszym.

M: W Twojej galerii na DA zdecydowanie przeważają prace wykonane digitalowo. Wolisz ten sposób tworzenia od rysowania tradycyjnego?

G: Wolę tylko ze względu na to, że można spokojnie poprawiać swoje pomyłki bez robienia na kartce papieru pola bitwy. Również z tego powodu, że znacznie szybciej tworzy się pracę w formie digitalowej, niżli papierowej. Jeszcze nie spotkałam skanera, który by idealnie odwzorował kolory obrazka narysowanego na kartce papieru. Najwięcej swoich prac rysowanych metodą tradycyjną znajdziecie na moim Instagramie, tam jest pokazana wręcz walka na papierze, o której mówię. Ma to swój urok.

M: Jak głosi twój opis na DA, bardzo lubisz tworzyć prace związane z naszym krajem. Opowiedz nam o tym coś więcej?

G: Swego czasu czytałam bardzo dużo książek o tematyce wojskowej. Głównie o II wojnie światowej oraz jej realiach. „Dywizjon 303” to była jedną z moich ulubionych książek, jaka wpadła mi w ręce. Czytałam ją idąc do pracy i wracając do domu. Wyczyny polskich pilotów, i nie tylko, napawały mnie inspiracją do tworzenia. Jedyną wtedy aktualną i ulubioną formą wyrażania mojej twórczości stały się kucyki. I tak właśnie w mojej galerii można spotkać pracę z kucykiem Zumbachem czy innymi postaciami.

M: Pracujesz aktualnie nad kucykowymi projektami? Może jakiejś bajki?

G: O tak, aktualnie pracuję nad obrazkami do bajki „Kolory Emocji” napisanej przez mojego męża. Nie mam czasu na otwieranie nowych projektów, pomimo iż bardzo bym chciała, to przede wszystkim moim celem jest wykonanie ilustracji do pięknej historii o przyjaźni, emocjach oraz niebezpieczeństwach, jakie czyhają w Equestrii. Mam nadzieję, że kiedy powstaną już obrazki, to czytanie tej bajki - lub jak na to mówi fandom: fanfika - będzie dla Was przyjemnością. Historia, pomimo iż jest przeznaczona dla dzieci, to sprawiła mi ogromną radość i wniosła całkiem sporo inspiracji do mojego życia.

M: Masz w swoim rysowanym stadzie wiele bardzo ciekawych i oryginalnych postaci. Wiąże się z nimi jakaś historia?

G: No to teraz niczym Wojciech Mann z Szansy na sukces pociągnęłaś za sznureczek z numerem „OJ, TYCH HISTORII JEST SPORO” haha. Z każdą postacią wiąże się pewna historia. Nie chciałabym nikogo usypiać swoimi opowiadaniem, ale są dwie postacie, które powstały jako pierwsze. Pliszka oraz Rudi. Narysowałam ich jeszcze na swoich pierwszych studiach, kiedy to zafascynowanie tematyką II wojny światowej było w swoim rozkwicie. Pliszka to pegazica, która kocha latać i może nie chce tego przyznać, ale jej serce cicho uśmiecha się do ogiera o imieniu Rudi. Rud, podobnie jak Pliszka, uwielbia latać i oboje tworzą duo kucykowych pilotów. Ich historia to taki romantyczny wątek w czasach wojny.



M: Twoja pony-persona, Feather Paw, zdecydowanie wyróżnia się z tłumu. Powiedz mi, dlaczego jej kompan, Anton, jest gołębiem?

G: Dziękuję, już tłumaczę. W realnym świecie, kiedy tylko mogłam, uwielbiałam jeździć swoim skuterem. Pewnego dnia, kiedy przyjechałam do rodziców na warsztat, to ktoś zazartował z mojego skutera, że nie dość, że mały (niezniszczalna Honda DIO), to jeszcze szary i brzmi jak suszarka do włosów. Wtedy odpowiedziałam, że może i jest mały, ale nie do zdarcia: „taki mój mały pidżyn”. Pidżyn to nic innego jak fonetyczny zapis słowa Pigeon - gołąb. Od tamtego czasu nie wyobrażałam sobie innej nazwy dla swojego skutera. Pozbierałam gołębie pióra, ozdobiłam je farbami i doczepiłam do skutera. Było to coś, co zrobiłam z całą swoją kreatywnością i byłam z tego dumna. Od tamtej pory mój skuter był rozpoznawalny w całym mieście. Były sytuacje, że kiedy zaparkowałam przed sklepem, to znajomi - widząc mój skuter - wchodziłi do sklepu tylko to po to, aby chwile zamienić ze mną słówko i trochę się pośmiać. Wszyscy kojarzyli moją osobę z tym skuterem, na którego do dzisiaj mówię Pidżyn. Dlatego moja ponysona ma gołębia za przyjaciela.

M: To teraz może trochę mniej wymagające pytanie. Czy jest jakiś polski lub zagraniczny artysta w kucykowym gronie, którego podziwiasz? Osoba, której twórczość Cię inspiruje?

G: Oj, jest ich tak ogromna ilość, że nie jestem w stanie wymienić, jak wielu artystów i jak wiele osób wpłynęło na moją twórczość! Wszyscy niesamowici Polscy oraz zagraniczni artyści, którzy wkładają serce w swoje prace

(a to widać) są dla mnie inspiracją. Zawsze, gdy zachwy mi jakas ich praca, to piszę do nich kilka słów od siebie, aby wiedzieli, że ich dzieło i ich wkład emocjonalny w pracę jest czymś bezcennym.

M: Poza DA i „Bronies Radosna twórczość” na FB udzielasz się gdzieś jeszcze w tak zwanym „fandomowym życiu”?

G: Teraz już raczej nie udzielam się nigdzie poza DeviantArt, Derpiboru i Instagramem. Nie mam na to czasu, niestety. Chciałabym jeszcze kiedyś zawitać na ponymeecie czy innym kucykowym spotkaniu. To są świetne imprezy, na których człowiek się świetnie bawi.

M: Tak spoza kucykowych tematów... Powiedz mi proszę, jaką porę roku lubisz najbardziej?

G: Lato. Oj tak - lato, gdzie za dnia jest ciepłe słońce, a nocą pada deszcz. Idealna pora roku.

M: Masz może jakąś ulubioną książkę, serię lub inny tekst kultury, które skradło Twoje serce?

G: Owszem, mam dwie ulubione książki - „Sprzedawca Broni” oraz „Dziennik Bridget Jones”. Uwielbiam śmiać się do rozpuku, kiedy czytam dobrą lekturę. Mogę je czytać po kilka razy i zawsze będę śmiała się i zachwycała tamtejszymi historiami. Styl pisania tych książek jest wręcz komediowy.

M: Na koniec zgodnie z tradycją, chciałabym zapytać, czy masz może jakieś porady dla początkujących rysowników? Może jakieś pomysły na prace chodzą Ci ostatnio po głowie i bardzo chciałabyś się nimi z kimś podzielić?

G: Dla początkujących artystów mam jedną radę, aby nigdy się nie poddawali, bo mają w sobie cudowne historie do pokazania światu. Najważniejsza w tym wszystkim jest radość z tworzenia. Możesz robić zyrafie szyje, ale baw się przy tym tak, aby po rysowaniu uśmiechać się do ludzi. Tego wszystkim życzę.

M: Dziękuję Ci ślicznie, że zgodziłaś się poświęcić trochę swojego czasu na podzielenie się odrobiną swojej rysunkowej magii!

G: Ja również dziękuję Ci za ten wywiad i przede wszystkim dziękuję za cierpliwość!





Niedawno wypłynęła reklama nowej serii zabawek spod szyldu My Little Pony. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie towarzysząca im animacja oraz zapowiedź miniseriale o kucykach z Mane 6. Przez fandom od razu przetoczył się potężny kałosztorm, płacze, że to koniec kucyków, herezja i w ogóle fe i bu. Nie powiem by to, co dostaliśmy mi się podobało, bo tak nie jest. Ale i tak spróbuję się pobawić w adwokata diabła.

» Cahan

Zacznijmy od podsumowania: Pony Life po raz pierwszy ukazało się jako reklama nowej linii zabawek. Następnie dowiedzieliśmy się, że powstanie jeszcze serial, którego fabuła będzie skupiona na Cukrowym Kąciku i narkoty... magicznych miksaturach spod lady Pinkie Pie. Widzieliśmy parę obrazków oraz próbkę nowej animacji. To tyle. Teraz czas na polemikę z różnymi głupotkami, które ludzie wypisują na forum, FGE czy na fejsiku.

Pony Life to G5

Nie wiem skąd niektórzy ubzdurali sobie, że to będzie G5. Jeśli już, to G4.5. Osobiście spodziewałabym się raczej krótkiej serii składającej się z odcinków, trwających do dziesięciu minut i mających wypełnić lukę pomiędzy G4 a G5. Coś jak cały miniseriale Equestria Girls, będący zlepkiem shortów.

Hasbro się sprzedało

Wow! Dopiero teraz to odkryliście? Szybcy jesteście. Kucyki od zawsze były reklamą, mającą sprzedać zabawki małym dziewczynkom. Bronies dla Hasbro... istnieją i Hasbro jest wobec nas nastawione neutralnie. Na nasze szczęście. Hasbro myśli mniej więcej tak: nasze stare kucykowe zabawki przestały się sprzedawać, bo wszystkie małe dziewczynki już dawno kupiły swoje Twilight Sparkle w trzech różnych wersjach, które niewiele się różnią, trzeba wymyślić coś, co będzie się mocno różniło stylem. I potem to sprzedać.

Przypominam, że to nie bronies są targetem. Cemu? Bo szła na kupowanie blind bagów i kucy do czesania minął lata temu i przeciętny członek fandomu stał się dużo bardziej wybredny - nie kupi czegoś tylko dlatego, że są tam kucyki. Prędkiej dołoży parę stówek i zaopatrzy się u artysty bez licencji, który robi może i drogo, ale przynajmniej dobrze. Nie oszukujmy się, zabawki dla dzieci mają być bezpieczne, dość wytrzymałe i tanie w produkcji, bo dziecko ma mniejsze wymagania niż dorosły. Od zarabiania na bronixach są Funko i Fan Series, ale i one raczej nie dały rady. Po prostu kupujemy tego za mało by się liczyć.

Słyszałam też, że nowe zabawki są brzydkie. I tutaj powinna zapaść taka cisza, zakłócana cykaniem świerszczy. Bo coś takiego mógł chyba tylko powiedzieć ktoś, kto nie wie jak wygląda cała reszta oficjalnych kucykowych zabawek. Większość z nich wypala oczy. Pamiętacie różową Celestię? Trzy

modele na krzyż w blind bagach? Bo ja tak. Także to żadna nowość, że produkt przeznaczony dla kilkulatek jest delikatnie to ujmując... paskudny jak kał pawiana, który popijał ogórki kiszzone mlekiem sojowym.

Wygląda jak Teen Titans: GO! i w ogóle wszystkie współczesne bajki są robione na jedno kopyto. A tak w ogóle, to G4 było pięknie rysowane, nie to, co to!

Od początków animacji przeznaczonej dla dzieci jest tak, że tworzą się pewne trendy i większość kreskówek na rynku wygląda dość podobnie. Jest to spowodowane zarówno gustem konsumentów, jak i kosztami produkcji. Jako osoby, które wychowały się na rzeczach utrzymanych w zupełnie innej stylistyce, będziemy prychać i parskać na wszystko, co jest inne. Szczególnie jeśli jest to związane z serią, która nie jest nam obojętna. I tak fani starej She-Ry psioczą na nową wersję, bo She-Ra nosi spodenki i nie ma wielkich balonów na klacie (jak na nastolatkę przystało), postacie są brzydkie (bo wszystkie nie dzielą jednego modelu) i w ogóle be! Jeśli chodzi o nasze ukochane G4, to też znalazły się głosy, że te kuce są brzydkie, mają wodogłowie i za wielkie oczy, nie to co klasyczne G1.

Chodzi o to, że ludzie będą się zapierać rękami i nogami przed zmianą. Nawet jeśli ta zmiana jest potencjalnie dobra, tylko dlatego, że nie jest tym samym. Nic nie odbierze nam starych kucyków, starej She-Ry czy Młodych Tytanów. Te rzeczy wciąż istnieją, nawet jeśli po drodze zmieniała się cała konwencja. Nie chodzi o to, by w kółko robić to samo, ale z nową grafiką, która i tak będzie zła, jeśli nie będzie odnowioną wersją starej. Musimy się też pogodzić z tym, że dla osób, które są tego sentymentu pozbawione, to te archaiczne bajki często są brzydkie, nudne i niestrawne.

Inna sprawa, że G4 tak naprawdę zawsze było słabą animacją. Leniwą i niskobudżetową, robioną we Flashu. I nikt tego nie rysował. Znaczący - rysował projekty postaci, jakiś zarys scen, ale cała reszta jest już robiona na wektorowych modelach. Tłą są ubogie, paleta barw zresztą też. Cienie wręcz nie istnieją. Do tego liczne błędy i pięć Lyr w jednym kadrze oraz pierwsze sezony, niemalże pozbawione ogierów. I potem się okazuje, że jakaś Minuette, która chodziła z Twilight do klasy, była już dorosłą klaczą, kiedy Iskierka zdawała egzaminy wstępne do szkoły Celestii.

Pony Life robi to wszystko lepiej. Już w reklamie i w udostępnionych obrazkach. Animacja jest płynniejsza, są proste cienie, tła wyglądają na bardziej dopracowane, a te chibi projekty Mane 6 i Spike'a mają w sobie więcej z tradycyjnej rysowanej animacji, niż cokolwiek w FiM. To się może nie podobać, ale jest lepsze pod względem technicznym i nie należy udawać, że trawa jest czerwona, a niebo zielone.

To na pewno będzie głupie, krzykliwe i pseudozabawne jak Teen Titans: GO!

A wnioskujecie to po...? Reklamie czy po stylu animacji? Znaczący, ja nie przeczę, że tak będzie i podejrzewam, że Pony Life okaże się słabą produkcją, ale z wielu innych powodów. Ale póki co nie dostaliśmy próbki samego serialu, więc nasze oceny to zabawa we Wróżbitę Macieja i Wróżkę Jowitę.

Jeśli chodzi o samą reklamę, to znowu - reklamy kucyków nigdy nie miały wiele wspólnego z serialem i animacją. Ani z zachowaniem postaci. Specjalnie na potrzeby tego artykułu poświęciłam się i zrobiłam sobie maraton reklam kucykowych zabawek. I powiem tak - kuce z G3 wypadają na nich chyba najlepiej. Łącznie z G3.5. Serio. A jak G4? Nie różni się zbytnio od poprzedniczek, ale występują w nich bobas Pinkie



oraz jakiś zupełnie nowy wektor Cadance, krzywy jak nie powiem co i w złych kolorach. Pojawiają się też animacje we Flashu, które nie pojawiły się nigdy w serialu. Za to kuce jeżdżą samochodami. No i Twilight ma balon, który w serialu pojawiał się sporadycznie i nigdy nie było powiedziane, że należy do niej.

To teraz spójrzmy na podobieństwo do tych nieszczęsnych Młodych Tytanów. Polega ono na tym, że obie bajki są rysowane w stylu chibi i że kuce w reklamie zabawek są bardzo ekspresyjne i zachowują się out of character. Tylko, że... To nic nie znaczy. Gravity Falls i Star Butterfly pod względem kreski też są bardzo podobne, a to dwie zupełnie różne produkcje.

Badania na grupie docelowej

Poprosiłam moich redaktorów by porozmawiali ze spokrewnionymi dziećmi na temat Pony Life. Wyniki są takie, że... wszystkim dzieciom się ono spodobało, co potwierdza moją tezę, że to nie bez powodu wygląda jak wygląda. W końcu tworzą to specjaliści od zarabiania pieniędzy, którzy rozumieją, że musi być popyt na dany produkt. Oczywiście, moja grupa badawcza była zdecydowanie za mała, by traktować te badania na poważnie, ale ciężko było znaleźć na szybko chociaż kilkadziesiąt dzieci.

Moje przemyślenia

Sądzę, że Pony Life okaże się krótką i nieciekawą reklamówką, która niczego nie zmieni. Podejrzewam też, że będzie złe, bo serio, Pinkie Pie i krystaliczna

meta? Pinkie Pie normalnie jest wkurzającą postacią, a skupione wokół niej odcinki należą do najgłupszych w całym serialu. A obawiam się, że w Pony Life może być jeszcze gorsza. Poza tym Różowa Zaraza i magiczne mikstury? Od eliksirów, to jest Zecora. Taka zapomniana przez twórców postać. Mądra taka. I fajna. I niebędąca wkurzającym kartoflem z ADHD, któremu należy się strzał w ten głupi pysk. Nie no, przesadzam, ale po prostu wszystkie nefajne zachowania Pinkie zawsze uchodzą jej na sucho i morał jest taki, że to świat ma się do niej dostosować, a nie ona do świata. Ale przede wszystkim to nie ma żadnego sensu. Chociaż może źle do tego podchodzę - w G4 to nie miało sensu, tu może mieć.

Mimo wszystko, choć średnio podoba mi się ten styl chibi oraz ta aż za bardzo przerysowana mimika, to jestem ciekawa, jak to wyjdzie pod względem technicznym. Podejrzewam, że Pony Life powstało również dlatego, że Hasbro chciało przetestować parę rzeczy przed G5.

Mam nadzieję, że koniec końców wszyscy będziemy mile zaskoczeni, a nowy miniserial okaże się znośny. W końcu te mikstury spod lady mają jakiś potencjał fabularny. Może zobaczymy jak Mane 6 walczy z tęczowymi smokami w Krainie Grzybów? Mimo wszystko bardziej spodziewam się podróży przez krainę, przez którą patataja księżniczka Buyourtoysia. Ale przecież oczekiwania wobec Friendship is Magic były identyczne, prawda?





Listopad powoli przemienia się w grudzień, a jesień ustępuje miejsce zimie. 23 listopada ponownie spotkaliśmy się w Krakowskiej Bursie Ponadpodstawowej przy Focha 39, by razem miło spędzić czas, porozmawiać oraz zawiązać nowe przyjaźnie. Atmosfera, pomimo zawartości szkodliwych pyłów w małopolskim powietrzu, była przepełniona radością i szczęściem. Tak więc oto relacja z kolejnej edycji Krakowskiego Pony Meeta o numerze 18.3. od dwóch miłośników twórców i kilka porad od nieogarniętej rysowniczkii

» *Catkitty, Moonlight, Victoria Luna*

Dziółcha przyjeżdża do miasta, czyli Victoria opowie o swojej przygodzie.

Krakowski Meet był ostatnim konwentem, na którym miałam okazję być w tym roku. W planach był również Remcon, który ma odbyć się 13-15 grudnia w pewnej rybackiej wiosce (patrz: Gdynia, jak powiadają), lecz niestety, wraz z Semaforem musiałam podjąć decyzję, by zrezygnować z wyjazdu nad morze z powodu przyczyn czysto logistyczno-finansowo-szkolno-prywatnych. Życie, jak mawiają niektórzy ludzie, w tym i ja. Po części jednak kamień spadł mi z serca. Wyprodukowanie merchu będącego nie pastelowymi konikami, a czymś innym, jest dla mnie nie lada wyzwaniem, a zwłaszcza w tak krótkim czasie. Wprawdzie na Remcon zdecydowaliśmy

się jechać już we wrześniu, lecz postanowiłam odłożyć przygotowania na później. I na szczęście to była dobra decyzja. Oczywiście, mogłabym wykorzystać to w późniejszych wyjazdach, ale na razie mam inne priorytety. Jestem typem osoby, który woli skupiać się na bliższej przyszłości niż niepewnych planach, jeśli mówimy o tego typu sprawach.

Przygotowania rozpoczęłam jakieś trzy tygodnie przed datą meeta. Jako że zakupiłam ostatnio dodatkowy sprzęt w postaci lightboxa (Huion Lightpad A4), przygotowania przebiegały nawet sprawnie, gdyż gdy już miałam daną postać, lecz kartka była już zbyt wykończona, wystarczyło po prostu włączyć sprzęt z Japonii i przerysować. Niestety, na swojej drodze miałam kilka przeszkód... Problemem była moja szkoła, a dokładniej – internat. Często biorę ze sobą laptopa, by móc pracować i tu... Do samego laptopa potrzebne mi są tylko mysz, zasilacz oraz, oczywiście, tablet graficzny. Nic trudnego. Natomiast jeśli chodzi o rysowanie metodą tradycyjną... Na szczęście nie musiałam brać ze sobą pół biurka, tylko jeden średniej wielkości i wypchany po brzegi piórnik. Najbardziej jednak okaleczało mnie stanowisko pracy – brakowało mi kilku materiałów oraz odpowiedniego oświetlenia, a także... mojego biurowego krzesła. Mówię poważnie. W internacie są tylko takie krzesła, jak w niektórych starych salach wykładowych lub w lipnych restauracjach. Ale trzeba się dostosować, bo przecież nie nauczę się siedzieć w powietrzu.

Mijają dwa-trzy tygodnie, rysunki się robią, a plecy bolą. W końcu przychodzi przeddzień meeta, czyli 22 listopada. Po dosyć obfitym obiedzie siadam z pełnym brzuchem do trzech ostatnich rysunków. Po bodajże dwóch-czterech godzinach urozmaiconymi ploteczkami oraz sprzeczkami z moją mamą. I pozostało czekać na moment, gdy jadę do Krakowa.

Tak więc oto nadchodzi ten moment – pakuję się do pewnego krakowskiego empeka, który po kilku przystankach jest bardziej przeludniony niż pociąg w Indiach. Teoretycznie mogłabym pojechać od razu na meeta, ponieważ ulica Focha znajdowała się na trasie magicznego autobusu. Ale nie tym razem. Miałam za zadanie odebrać Cata z Dworca Głównego oraz zabrać na porządnie śniadanie bez kofeiny. Po porannym posiłku udaliśmy się do miejsca docelowego, które znajdowało się jakieś 20 min. drogi czterośladowym pojazdem bez korków w godzinach szczytu. Po dotarciu na jeden z dwóch przystanków zdecydowaliśmy się poczekać na kolejny autobus komunikacji miejskiej niż iść piechotą. Los chciał, że w tym samym pojeździe była Moonlight.

W ten oto sposób docieramy do dobrze nam znanej Bursy Ponadpodstawowej, która od lat udostępnia placówkę na ten konwent. Co ciekawe, odwiedziła nas jedna z wychowawczyń (lub nawet sama kierowniczką) i była bardzo ciekawa, co tak dokładnie tu robimy. Ale od początku. Jako że była godzina 10:00, akredytacja została otwarta. Udaje mi się poprosić o odpowiedni identyfikator wystawcy i za zgodą urzędnika podatkowego weszłam do środka, by rozejrzeć się za naszym stanowiskiem. Na szczęście, w porównaniu m.in. do Ambermeetu, byłam już odpowiednio przygotowana, więc merch nie musiał zagradzać nam stolików, a my mieliśmy godne warunki do tworzenia commissionów na miejscu. Moon od razu wystawiła swój merch. Ja natomiast musiałam chwilę nad nim popracować... Ale w ciągu 40 min byłam gotowa prezentować swoje prace. Wcześniej wspomniałam o pani wychowawczyni z bursy. Zapytała

nas, czy to nasze prace/rysunki. Wraz z Ciocią (Moonlight) odpowiedziałyśmy twierdząco. Pani był bardzo zauroczona naszymi rysunkami i po chwili przyznała, że nigdy nie wiedziała, co my tu do końca robimy. Potem poszła się rozejrzeć dalej. My natomiast wróciłyśmy do swoich zajęć. Między sprzedawaniem i omawianiem zamówień plotkowałam z Ciocią i Catem, chcąc co nieco dowiedzieć się, co w trawie piszczy. Nawet nie zauważyłam, kiedy ten czas minął. Oprócz siedzenia na stoisku rozmawiałam z innymi bronami, nie tylko na temat kucyków, oraz rozglądałam się za ciekawymi pamiątkami z tego dnia. Zakupiłam kilka magnesów na lodówkę i tablicę magnetyczną, podkładkę pod mysz oraz wspomogłam krakowskie schronisko na Rybnej 3. Weterynarz też ma serce, mimo że często znieczulone.

W pewnym momencie (jakoś pół godziny po otwarciu akredytacji) złapałam Altiusa, który nieco wcześniej poprosił mnie o pomoc przy jego debiutanckiej płycie – EP. Wraz z Moonlight miałyśmy za zadanie zadbać o oprawę graficzną produktu. Ja w przydziale otrzymałam postacie na płytę, a Ciocia – okładkę. Wspólnymi siłami dokończyliśmy projekt, choć chwilami jego los wisiał na włosku. Niemniej udało nam się. Każdy, kto miał udział w projekcie, otrzymał jedną pamiątkową sztukę. Zrealizowany pomysł był prezentem dla naszej koleżanki – Porcelanowego Okulara. Była niezwykle szczęśliwa, mając udział w czymś takim. Dla postronnego obserwatora mogłoby być to coś błahego, lecz dla mnie i dla innych osób – coś niezwykle ważnego i cennego.



Dobry wieczór, witamy w pociągu te el ka „Małopolska” numer pięćdziesiąt trzy sto – czyli Cat korzystający ostatnio za dużo z usług „pekape intersyty”.

Pojawienie się na Krakowskim Ponymeece 18.3 było dla mnie tego samego rodzaju zaskoczeniem, co na Krakowskim Ponymeece 18.2. I tu, i tam zaskoczeniem było zaistnienie tej imprezy. I tu, i tam decyzję o wyjeździe podjąłem z kilkutygodniowym wyprzedzeniem. I tu, i tam również nie za bardzo miałem jakikolwiek plan na siebie, jeśli chodzi o meeta; no może poza karaoke – to zawsze mam w planie.

Tym samym w piątkowy późny wieczór, załatwiwszy najpilniejsze sprawy i odrzucając wszystkie inne – jak przygotowania do współorganizowania Remconu – na bok, zapakowałem Octavię do plecaka i stanąłem na peronie jednej z pomorskich stacji węzłowych PKP. Po dziesięcioipółgodzinnej przejażdżce spędzonej w będącym równolatkiem moich rodziców przedziałowym wagonie klasy drugiej wystąpiłem z pociągu i odsunąłem się od krawędzi peronu na głównej stacji Stołeczno-Królewskiego Miasta Krakowa. Pomyliłem początkowo przejścia podziemne, przez co musiałem się cofnąć, by móc następnie wyjść na pasaż Galerii Krakowskiej i pędem poszukać jakiegoś miejsca na poranny posiłek z Vic, której to miałem oczekiwać pięć minut później na przystanku dwieście metrów dalej. Po zjedzeniu kanapek będących wystarczającym powodem do nienawiści ze strony wegan udaliśmy się empekiem na podróż ku ponymeece. Po chwili tak się miło złożyło, że po przesiadce z jednej linii na drugą znaleźliśmy się w autobusie z Moon, która – tu bez niespodzianki – również jechała na KPM.

W obrębie Bursy kręciła już się drobna gromadka broniaków, z którymi się przywitaliśmy, by następnie szybciusio się udać do wnętrza budynku. Po wystaniu kilkunastu sekund w mikrej kolejce (była to jeszcze dość wczesna pora) pożegnałem się z Bolesławem Chrobrym, witając w zamian kilka orłów, i znalazłem się na terenie wydarzenia. Nie minęło wiele minut, nim sobie w końcu uświadomiłem, po co właściwie się tam pojawiłem – dla ludzi. Nie znałem planu imprezy i faktycznie, jeśli chodzi o samego meeta, przejecha-

Ogółem czas minął mi bardzo przyjemnie. Miałam okazję spotkać się ze swoimi znajomymi i porozmawiać o różnych rzeczach – od macierzystego serialu po różne inne kreskówki, poglądy, aż do życia codziennego i inne takie. To był drugi powód przyjazdu na ten meet – chęć spotkania, wyściskania i porozmawiania z innymi. Rzadko kiedy mam okazję porozmawiać z kimś o tego typu rzeczach, ponieważ albo nie znam takiej osoby, albo nie mam ochoty ośmieszyć się przed nieznanymi. Jestem takim typem osoby, która trzyma się swojej paczki i zazdrośnie jej strzeże.

W tym przypadku bardziej trzymam, niż walczę na innych, bo po prostu za rzadko się widzimy. Ale udało mi się znaleźć kilka znajomych twarzy i pogadać na luzie. Bardzo doceniam takie chwile, bo wiem, że prędko się nie powtórzą. Wyczekiwałam również na aukcję charytatywną. Byłam ciekawa, co magiczny duet z krakowskiego Mam talent wymyśli oraz cen produktów, w tym moich fantów.

Oczywiście, nie zabrakło sucharów oraz żartów, przy których o mało się nie popłakałam. Bardzo mi się podoba komunikacja na linii prowadzący-widownia. Często ktoś z zebranego ludu dokańczał lub dopowiadał, dzięki czemu powstawała wybuchowa mieszanka śmiechu. Najbardziej rozwalilo mnie ogłoszenie dotyczące aftera, a mianowicie informacje z kategorii czego nie robić pod tytułem „Formacja BYDŁO i Super Partia”. Po ogłoszeniach parafialnych przeszliśmy do samego sedna aukcji. Zbiórka była udana, ponieważ, jak potem podano na fanpage’u, zebrano prawie 3100 zł na rzecz Krakowskiego Stowarzyszenia Opieki nad Zwierzętami. W ten sposób dobiegł dzień na Krakowskim Pony Meece 18.3.

Ogólnie meeta wspominam ciepło, pomimo mrozu na zewnątrz. Spotkałam się z przyjaciółmi oraz moim ukochanym (kocham Cię, Kotku), zarobiłam nieco kasy, ale przede wszystkim miałam okazję dobrze się bawić. I ją wykorzystałam. Bardzo miło spędziłam czas w gronie moich znajomych oraz przyjaciół, śmiejąc się i wymieniając informacje, przecieki lub inne ploteczki. Mimo toksycznego smogu i zgiełku, impreza była przednia. Już nie mogę doczekać się kolejnej edycji, pod numerem 18.4... lub może 20.1? Mam nadzieję, że będzie nam się dane na jeszcze jednym Krakowskim...



łem cały ten szmat drogi po to, żeby się pokręcić po piętrze i pogadać z ludźmi, których lubię, a z którymi mam okazję się widywać jedynie na kurowych wydarzeniach. Już stojąc w kolejce do pozostawienia Tavi na PlushieConie (a stałem za Pawłem i jego końskim wózkiem, więc nie było to krótko), miałem okazję pogadać i pośmiać się z innymi uczestnikami. Opuściwszy moją podopieczną, znajdującą się teraz w bardziej sobie podobnym towarzystwie, poszedłem sprawdzić, kogo to jeszcze moje śliczne oczy ujrzą, i tak spotkałem jeszcze jednego ze swoich ulubionych wystawców oraz ludzi związanych z Fundacją BT/Bronies Twilight, a także innych znajomych, których twarze nie potrafię skleić z ksywkami (przepraszam, Kidle!).

Po takim porannym rekonesansie (i naprawdę drobnej – zbyt drobnej – pomocy Semaforowi w rozstawieniu się) pobiegłem do sali głównej na otwarcie (na szczęście obyło się bez parasola). Chętnie wysłuchałem, co TK z resztą miał nam ciekawego do przekazania, by następnie wystrzelić do sali karaoke. Tam się rozspie-



wałem – a przynajmniej próbowałem. Niestety okazało się, że zdążyłem wyjść ostatnio z wprawy (wątpię, by moi współlokatorzy byli zadowoleni, gdybym wieczorami szlifował swój śpiew). Po kilku utworach w niejednym języku moje gardło zażądało wilgoci, toteż wróciłem do semaforowego stoiska, by z wiktoriowej torby wyciągnąć swój izotonik. Pozostałem tam dłuży czas w celu zawracania dziewczynom gitary sprawami, których już nie pamiętam, oraz rzucania na nie płomiennych spojrzeń za rezygnację z udziału w Remconie już po ustaleniu układu stołów. Starłem się przy tym robić również za żywą reklamę (stosując mniej lub – znów wybaczyć, Kidle – bardziej agresyw-

ną strategię). Przy okazji też kilkakrotnie dręczyłem Reda o przypinkę z Gildą (niezdarny Cat swoją gdzieś zgubił – nawet nie pamięta, w którym kraju). Niestety znajomy handlarz nie dysponował takową, zaś jego sprzęt teleinformatyczny postanowił uniemożliwić jej wykonanie na miejscu.

Po jakimś czasie nawijania ze znajomymi i nieznanymi, wspólnej gry na rozwijanym gumowym keyboardzie i krótkotrwałym zaanektowaniu wraz z Moon bursowego pianina elektrycznego nasza (bynajmniej nie formalna) trójka zgłodziła. W tym miejscu słowo kluczowe jest jedno – foodtruck. Jestem osobą, która jest w stanie pochłonąć ze łzami szczęścia wszystko, co zawiera mięso i papryczki jalapeño, więc pojawienie się gastrodostawczaka Compadre było dla mnie w tamtej chwili gwiazdką z nieba. „A mają quesadillę ([kesadiję] – dokładnie tak się to wymawia, nie inaczej)?” – spytałem. TK potwierdził, na co wraz z Moonlight praktycznie zerwaliśmy się na równe nogi, by czym prędzej wypełnić swoje żołądki przewspaniale pikantnym połączeniem mięsa, sera i ciasta z mąki kukurydzianej. Pod foodtruckiem utworzyła się już niemała kolejka, ale na szczęście była ona numerowana, więc po złożeniu zamówienia nie trzeba było stać cały czas na – przeszkadzającym innym, nie mnie – chłodzie. Po odebraniu gotowego jedzonka wraz z Vic pożarliśmy tę dużą porcję prawie na pół. Dla niej była to pierwsza quesadilla w życiu, dla mnie zaś najlepsza, jaką było mi dotychczas dane spożywać.

W oczekiwaniu na turniej karaoke – na który zgłosiłem siebie oraz nie do końca świadomą tego faktu Ciocią Moon – mój telefon uległ uszkodzeniu, co jednak nie przeszkodziło mi w dalszym utrzymaniu radosnego nastroju – ot, śmieszna różowa smuga na ekranie. Zasiadłem przed niestrzeżonym komputerem Pisklaka (albo Porcelanki, nie wiem, najważniejsze, że był niestrzeżony i w moim zasięgu), by pokazać innym, jakie zabawne rzeczy można robić z pomocą hosta RunDll32, mechanizmu OLE w WordPadzie czy też z użyciem aplikacji Kalkulatora z systemu Windows 8.1. Te dwie ostatnie zabawy nawet zwróciły uwagę kilku osób, które po chwili same zaczęły wpatrywać się w ekran, zastanawiając się, jakim sposobem przelicza się węzły na żółwie. W końcu trzeba było jednak opuścić tamto miejsce, by udać się na tur-



jest to wcale mój ulubiony kucyk, bo jest nim Spike, jednak bardzo chętnie wydałem trochę gotówki na szczytny cel, otrzymując przy tym coś puchatego. Ogólnie cały przebieg atrakcji mi się podobał. Miałem przyjemność być już na kilku kucowych aukcjach charytatywnych i mogę zaświadczyć, że każda z nich wygląda zupełnie inaczej.

Po aukcji nadszedł dla nas czas spokojnego zbierania się do wyjścia. Znowu pomogłem ze stoiskiem, odebrałem Tavi z PlushieConu (chyba się tam świetnie bawiła!), pozakładaliśmy kurtki i wybyliśmy na zewnątrz, po drodze tuląc na pożegnanie po tuzinie osób. Z naszej trójki żadne nie wybięrało się na aftera, gdyż planowaliśmy spędzić wieczór wspólnie, toteż poszliśmy na przystanek i wskoczyliśmy na pokład autobusu.

Następnego dnia rano obudziłem się na wygodnej podłodze, odespawszy podkrakowską gościnność wiktoriowego taty. Spojrzałem na zegar i stwierdziłem, że nie warto było tak pędzić. Anulowałem bilet na odjeżdżające dla mnie zbyt wcześnie IC „Sukiennice”, skorzystałem z jeszcze kilku chwil gościny w postaci m. in. śniadania i dużej ilości płynów, po czym Vic odprowadziła mnie całutką mieszaną pieszo-autobusowo-pieszą trasą na Krakau Hbf, gdzie też zaopatrzyłem się w nowy bilet, tym razem na kolej dużych prędkości. „Pekape intersyty” zarobiło na mnie poczwórnie.

Co dał mi KPM? Spotkałem się ze znajomymi, kupiłem magnes i naklejkę, spędziłem ze swoją dziewczyną więcej niż pięć godzin, zeżarłem porządną quesadillę, prawie wygrałem turniej karaoke, zadbałem o to, by moja Octavia została rozświetlona zdjęciami, wszedłem w posiadanie bardzo wygodnej poduszki i miłego pluszaka, dodałem kilka nowych linii i przystanków do mojej mapy transportu zbiorowego oraz dowiedziałem się, że ekrany AMOLED są hermetycznie obudowane i, gdy się rozszczelniają (np. w wyniku uderzenia w osi równoległej do płaszczyzny ekranu), następuje proces stopniowego utleniania się diod organicznych, co objawia się powstawaniem na wyświetlaczu rozrastających się wpieryw różowych, a następnie czarnych plam. Ale co najważniejsze, miło spędziłem czas.

Na co komu sen, czyli Moon radzi, jak nie przygotowywać merchu noc przed Ponymetem.

Jak to jest, że człowiek wie o swoich obowiązkach, ma na nie wyznaczony czas, a i tak robi je na ostatnią chwilę? Może to ta adrenalina, a może jesteś zwykłym

niej! Po kilku pojedynkach – w tym jednym z naprawdę nikłą przewagą – dotarłem do finału, gdzie zdobyłem drugie miejsce. Nagrodą był uścisk dłoni prezesa. Chociaż, jak sobie tak pomyślę, to chyba MK w końcu nie podał mi ręki... Wypomnę mu to po Remconie.

W końcu jednak nadeszła ostatnia atrakcja wydarzenia – aukcja charytatywna na rzecz KTOZ. Jak zdążyłem zauważyć, południowy fandom najwyraźniej lubuje się w mystery boksach, bo było ich tam niemało. Zasiadłem w jednym z przednich rzędów – a nuż może uda mi się trochę pomóc i jednocześnie ustrzelić jakiś uroczy merch. Naprawdę długo można by wymieniać wszystkie kolejne wystawione przedmioty, więc pozwolę sobie ograniczyć się jedynie do dwóch, które znacząco zwróciły moją uwagę. Pierwszym z nich był portfel z Rainbow Dash – pojemny, ładny, z dość minimalistyczną, acz łatwo zauważalną sylwetką pegazicy. W drodze licytacji niestety byłem zmuszony odstąpić go koleźce, któremu się on o wiele bardziej spodobał. Zawód nie trwał jednak długo, gdyż już kilka minut później na widok wszystkich zostało wystawione inne чудо – poduszka z Rainbow do pokolorowania! Cena rosła tak długo, aż zostałem jedynym zainteresowanym. Kwota jednak nie satysfakcjonowała TK, więc postanowił do przedmiotu dołączyć drugi – mini pluszak tej samej pegazicy. Nagle las rąk się podniósł, a z nim ponownie cena. Nie dałem jednak za wygraną i w końcu zostałem szczęśliwym posiadaczem obu wystąpień tej postaci. Co ciekawe, nie

leniem, Moon, i dopisujesz sobie zbędną ideologię do braku organizacji pracy? Nah, to pewnie ten dreszczyk emocji. Dzień przed KPM 18.3 zdecydowanie był intensywny. Ja chyba po prostu nie potrafię rozłożyć sobie pracy, gdy w głowie mam same myśli typu: „ten meet jest w Krakowie, nie musisz nigdzie jechać, wystarczy wsiąść w autobus, na spokojnie ogarniesz”. No właśnie, wcale nie tak spokojnie, jakby się można było spodziewać.

Cóż, stało się to, czego chciałam uniknąć. Gdyż w ostatecznym rozrachunku najnowsze wzory moich naklejek i magnesów robiłam w ciągu ostatniego tygodnia przed wydarzeniem, a drukowałam wszystko, co miałam dodać do merchu, w piątkowy wieczór, po powrocie z trzygodzinnego konwersatorium na temat wykorzystania spektroskopii w badaniach medycznych. Wydrukowałam wtedy ponad sto sztuk naklejek i magnesów, które potem musiałam ręcznie wyciąć. Na szczęście Magpie zaoferował mi swoją pomoc, wycinając większość rzeczy w zamian za sprzedaż kilku jego wzorów. Cwaniak, czasem potrafi się ustawić, ale dzięki niemu, zamiast zarwać całą noc, udało nam się uporać z robotą tak, aby przespać całe, piękne, cztery godziny. Tak że porada numer jeden, jeśli wiecie o meecie z miesięcznym wyprzedzeniem, zacznijcie ogarniać rzeczy na sprzedaż sukcesywnie w każdej wolnej chwili, od postanowienia, że się na niego wybieracie. Nie czekajcie do potwierdzenia stoiska przez organizatorów. Gotowy merch zawsze można sprzedać przy innej okazji.

Drugą przydatną rzeczą, jeśli myślicie o stworzeniu własnego stoiska, jest inwestycja w ramki, w których można poukładać przykłady waszego merchu. To bardzo ułatwia i przyspiesza rozkładanie stoiska, a przy okazji merch jest dobrze widoczny i ładnie zaprezentowany (+10 do profesjonalizmu). Na ramkach można też łatwo przyklejać ceny, by ułatwić introwertycznym klientom sprawę, a sobie oszczędzić tłumaczenia, co, gdzie, za ile i ewentualnie dlaczego. Polecam ciepłutko, sprawdzone na dwóch meetach. Sprawdza się znakomicie. W ten sposób nie dość, że niemalże od razu po przyjeździe na meet byłam już gotowa sprzedawać, to znalazłam też chwilę, by pomóc Vic z jej rzeczami, a klienci pojawili się bardzo szybko. Można też wydrukować oddzielny cennik i postawić go obok rzeczy, ale to jest trochę

mniej skuteczne. Klienci często są zbyt rozkojarzeni, by szukać cen obok merchu, więc warto wyjść im naprzeciw i przykleić indywidualne metki przy każdej grupie oferowanych towarów.

W sumie, kolejny już raz największy ruch miałyśmy w pierwszych godzinach imprezy. Później przechodziły już tylko wtórne fale, wylewające się co jakiś czas z sal prelekcyjnych. Z miłych rzeczy: mnóstwo ludzi zainteresowało się moimi naklejkami i magnesami (choć wzory Sroki jak zwykle zeszyły jako pierwsze), co zdecydowanie wynagrodziło mi brak snu przed meetem. W przeciwieństwie do Ambermeeta, wzór z Gamer Luną w końcu dostał należytą uwagę i sprzedałam wszystkie towary z tym wzorem, jakie miałam na stanie. Cieszyłam się też, że zainwestowałam w małe koperty na wizytówki, dzięki którym wydawany przeze mnie merch prezentował się dobrze, nawet po zakupie (metaliczny, srebrny papier, szaleństwo) i był odpowiednio chroniony przed zagnieceniami (+20 do profesjonalizmu). Później zainteresowanie zakupami stopniowo spadało, dzięki czemu w końcu mogłam znaleźć chwilę, by narysować całe jedno zamówienie. Taki minus bycia zbyt dokładną przy tworzeniu, ale przynajmniej z czystym sumieniem zarobiłam na swoje wynagrodzenie.



Jeśli jesteście zainteresowani robieniem rysunków na zamówienie, na ponymeetach, warto przed imprezą przygotować sobie oddzielny cennik do tego typu usług. Bardzo dobrze sprawdzają się segregatory z przykładowymi pracami i cenami za dany rodzaj ilustracji, bo klient ma wtedy ten komfort wyboru i nie będzie nam robił problemów, jeśli podamy mu nagle cenę z kosmosu, bo wszystko będzie miało ładnie wypisane. Warto też przy cenniku tego typu ofert zastosować widełki cenowe, by zainteresowani zamówieniem mogli sobie mniej więcej wyliczyć, ile może być warte ich zlecenie. To trochę ułatwia życie. Victoria z Porcelanką mają tego typu katalog cenowy i bardzo dobrze się sprawdza, bo sposób: „Vic, powiedz mi, ile bierzesz za fullbody” nie zawsze jest miarodajny. xD

Z zabawnych rzeczy: podczas KPM ciotka Moon, pierwszy raz od początku działalności Semaforu, pozwoliła sobie na opuszczenie stoiska całe cztery razy i to na więcej niż minutę. Zaszalałam, nie ma co. Zazwyczaj pozwalam moim Pierniczkom zaszaleć, pilnując interesów. W końcu jestem najstarsza z naszej małej, artystycznej paczki, więc staram się być jako tako odpowiedzialna...i „staram się” to dobre określenie.

Pierwszy raz cały zespół zawiesił działalność, gdy spóźniona Porcelanka pojawiła się w budynku. W tym miejscu mogę się trochę usprawiedliwić i wytłumaczyć, dlaczego tak późno zajęłam się nowymi wzorami naklejek! Ha! Jednak mam jakąś wymówkę! Nasza mała przerwa spowodowana była grupowym składaniem życzeń urodzinowych dla Porcelanowego Okularu, podczas której wręczyliśmy naszej Paprotce mały upominek w postaci spersonalizowanej płyty CD. Tak, nie przywidziało Wam się, tej samej profesjonalnie wydrukowanej płyty, o której wspominała już Vic w swojej relacji. Stworzyłam do niej okładkę moją ukochaną techniką cyfrową (uwaga, sarkazm). Niestety, mimo iż posiadam tablet graficzny już od kilku lat, dalej używanie go w jakiś bardziej efektywny sposób jest dla mnie czarną magią. Męczyłam się z tym obrazkiem dobre kilka dni (i skończyłam idealnie tydzień przed meetem), ale ostatecznie dałam radę go skończyć i to z całkiem zadowalającym rezultatem. Zwłaszcza, że pierwszy raz stworzyłam postać humanoidalną, w pełni digitalowo i do tego aż dwa razy! Utwory z EPki [są dostępne na Spotify](#) (tam na okładce użyte są prace Victorii Luny) [oraz na Youtube](#) (gdzie moje rysunki stanowią tło dla

utworów inspirowanych konkretną postacią z trzech wybranych przez nas kreskówek), więc zachęcam do przesłuchania!

Za drugim razem podreptałam z Catem pomęczyć się chwilę na pianinie stojącym w głównej auli bursy. Próbowалам tam zagrać „Gypsy Bard”, ale nikt nie podchwycił melodii, więc zrezygnowалам, pełna rozczarowania. Taki klasyk, taki hit i zero reakcji... Smutno! Przynajmniej późniejszy obiad z wynajętej przez organizatorów budki był bardzo dobry.

W ramach trzeciej przerwy zostałam wezwana przez Porcelankę i Altiusa Volantisa na ich prelekcję o projekcie: „Helpie’s corner”, gdzie miałam wypowiedzieć się na temat piosenki, którą wysłałam do puli ich charytatywnej płyty. Z tego, co się wtedy dowiedziałam, moja autorska piosenka, zrealizowana z ogromną pomocą TheFlyingMagpie’a (ja ułożyłam słowa, wymyśliłam melodię wokalu i zaśpiewałam go, a Sroka stworzył cały akompaniament) jest jedynym utworem wykonywanym po polsku, jaki dostali do tej pory. W dodatku jest jedyną kompozycją stworzoną bardziej „klasycznie”, z pomocą żywych instrumentów, i jednocześnie okazała się rockowym rodzynkiem wśród elektronicznych kawałków. Podczas tej pogadanki odbyła się też jej oficjalna premiera, na żywo dla większego grona ludzi, więc yay. Wyszło to nawet całkiem nieźle. Oby ten projekt się ostatecznie udał!



Ostatnią i najstraszniejszą przerwą był moment, w którym Cat zapisał mnie na karaoke i musiałam się skompromitować przed ludźmi, po raz pierwszy grając w tę grę na kucykowym spędzie. Na szczęście nie przeszłam swoich eliminacji, więc była to krótka przygoda. To, że potrafię śpiewać, nie sprawia, że potrafię zdobywać punkty w karaoke. Ważna lekcja. Chociaż i tak podobno nieźle mi poszło. Nie wiem, nie znam się. Ale przynajmniej mogłam się wydrzeć, podczas śpiewania „The Moon Rises” od Ponyphonic. Uwielbiam ten kawałek. Potem nastąpiła chwila spokoju na stoisku. Musiałam wtedy uspokoić dłonie, by przypadkiem nie zepsuć zamówienia, więc pozwoliliśmy sobie z Catem na tradycyjne śpiewanie sztampowych hitów na korytarzu. W tym miejscu przekazuję pełne współczucie ludziom, którzy byli świadkami dziwnego duetu śpiewającego m.in. Ich Troje, Feel i Rubika przy względnej trzeźwości umysłu, niezachwianej napojami procentowymi, na wąskim holu. Może przynajmniej mieliście się z czego pośmiać.

Punktem kulminacyjnym imprezy była aukcja, w której wystawiłam kilka moich rysunków. Nie mam pojęcia, jakie było zainteresowanie tymi bohomazami, ale cieszę się, że mogłam dołożyć chociaż małą cegiełkę do tej szczytnej akcji.



Czego nauczyłam się dzięki temu wydarzeniu? Cytując klasyka: „niczego”... a tak właściwie utwierdziłam się w kilku przekonaniach, które znam od dawna. Mianowicie: robienie czegokolwiek na ostatnią chwilę to nigdy nie jest dobry pomysł, ale gdy już to robić, to trzeba pamiętać o godnej zaufania pomocy. Sen jest cenny, ale gdy jest się biednym studentem, to czasem lepiej go poświęcić dla większego zysku. Ramki do merchu są super. Panowie w budkach z jedzeniem nie doceniają mojej tolerancji ostrego jedzenia, bo kolejny raz ktoś zwątpił, że dam radę zjeść coś z dużą ilością jalapeño (ale przynajmniej quesadilla była smaczna). Jeśli chcę zacząć robić rysunki na zamówienie, na miejscu, to muszę zwiększyć moją wiarę w swoje umiejętności (polecam, fajna rzecz) i w końcu przygotować katalog cen do tego typu usługi. Do tego zdecydowanie nie umiem siedzieć jak normalny człowiek, przez co Cat mógł się nauczyć swojej lekcji i dowiedział się, jak zabić ekran AMOLED z pomocą mojego buta, który zaklinował się w krześle, przez co nieświadomie zrzuciłam jego telefon pod idealnym kątem, by go rozszelnić. Nie ma za co. Cieszę się, że mogłam Ci pomóc zdobyć tę wiedzę moim cudownym nieskoordynowanym ruchowym (wybacz). I ostatecznie utwierdziłam się w przekonaniu, że chciałabym to powtórzyć, więc mam nadzieję, że odwiedzicie nasze uroczne stoisko na następnym większym kucykowym spędzie! Może tym razem będę lepiej przygotowana. Lubię sprzedawać stuff z moimi pracami, bo przyjemnie mieć dla odmiany żywy kontakt z klientem po drugiej stronie. Można też poznać nowych ludzi i usłyszeć kilka miłych pochwał na temat swojej twórczości i wymienić się doświadczeniami z innymi stoiskami. Serdecznie polecam!



Jak naprawić altankę, czyli kiedy Shiny poznał Caddy

Nasza wyprawa po meandrach oficjalnych kucowych komiksów trwa! I najprawdopodobniej trwać będzie jeszcze przynajmniej przez jakiś czas – według oficjalnej zapowiedzi nowe zeszyty mają stanowić coś na wzór „sezonu 10” serialu. Ale zanim przyjdzie nam się przekonać, jak i czy wpłynie to na ich zawartość, czeka nas jeszcze długa droga. W niniejszym numerze na warsztat trafiają historie zawarte w numerach 9-12, podczas gdy najnowszy (w chwili powstawania tego tekstu) poszczycić się może liczbą 84.

» *Malvagio*

Zaraz, co, ale jak to „historie”? Cóż, zgodnie z zapowiedzią z poprzedniej recenzji, na czytelników miała czekać niewielka niespodzianka, czyż nie? Twórcy i/ lub wydawnictwo postanowili zmienić, zdawałoby się, już ugruntowaną formułę i tym razem uraczyć fanów krótszymi opowieściami, rozpisanymi jedynie na dwa numery. Znajduje to swoje uzasadnienie w ich treści – zarówno „Powrót Królowej Chrysalis”, jak i „Koszmar Rarity” nastawione były ściśle na przygodę w wielkiej skali, do jakiej w serialu przyzwyczaiła większość początków i finałów poszczególnych sezonów. Tym razem jednak otrzymujemy typowe (jak na kucowe standardy, oczywiście) „plasterki życia” autorstwa Katie Cook i Andy’ego Price’a.

Jak powracający duet poradził sobie ze spokojniejszym klimatem? W mojej opinii co najmniej bardzo dobrze – w przypadku kreski nie było zresztą powodów do żartów, jej styl od pierwszego numeru jawił się jako

uniwersalny. Scenariusz to już zupełnie inna para kaloszy, niemożliwa do tak łatwego przewidzenia, dobrze napisana opowieść przygodowa nie musi automatycznie świadczyć o zdolności tworzenia obyczajówek. Na szczęście Cook poradziła sobie z zadaniem doskonale, w obu historiach prezentując lekki i humorystyczny styl, z którego stanie się znana. Stety i niestety, ale nie wybiegajmy w tej chwili tak daleko w przyszłość.

No dobrze, przejdźmy zatem w końcu do fabularnego „mięska”. O czym w zasadzie traktują omawiane zeszyty? Pierwsze dwa poświęcone są Big Macowi i jego perypetiom podczas letniego festiwalu w Ponyville – poczciwy farmer pragnie jedynie zdobyć gwoździe, by naprawić wspomnianą powyżej altankę. Jak się okazuje, nie jest to wcale takie proste, gdy miasteczko pochłonięte jest przez świąteczny chaos (ale nie Chaos, Discorda się tu, na szczęście dla bohatera, nie uświadczy). I... w zasadzie to wszystko. Fabuła jest zatem prosta jak budowa cepa, ale bynajmniej nie znaczy to, że zła. Co więcej, odznacza się samoświadomością, i to w takim stopniu, iż początek drugiego zeszytu w otwarty sposób żartuje sobie z braku jakichkolwiek „epickich” elementów czy wysokiej, podbitej nagle stawki. Od początku do końca historia pozostaje przyjemna, nie pojawia się niespodziewanie żadne zagrożenie, które należy powstrzymać. Stanowi przez to niejako formę oddechu po Wielkich Wydarzeniach przedstawionych w poprzednich zeszytach.

Drugi arc prezentuje się już na pierwszy rzut oka znacznie bardziej interesująco, pozwala bowiem zajrzeć w przeszłość skąpo prezentowaną w serialu. Czytel-

nikom otwierane jest okienko na wydarzenia odległe jedynie o kilkanaście lat, a nie całe wieki czy milenium. Osią fabularną jest historia zejścia się Shining Armora i Cadance – jej zakończenie jest więc od samego początku znane, ale tak naprawdę nie ono jest tutaj najważniejsze. Liczy się odpowiedź na pytanie „jak?” i mogę zagwarantować, że dla wielu będzie zaskakująca. Dość powiedzieć, że komiks wręcz po brzegi wypełniony jest mniejszymi lub większymi nawiązaniem do lat 80. i dla każdego ich łowcy stanowić może nie lada gratkę. Warto w tym miejscu jeszcze nadmienić, iż podział historii przeprowadzony został w interesujący sposób – w pierwszym zeszycie w rolę narratora wciela się Shining Armor, który urywa swoją opowieść tuż przed punktem kulminacyjnym. W drugim natomiast pałeczkę przejmuje od niego Cadance, która nie tylko doprowadza historię do końca, ale pozwala spojrzeć na opisane wcześniej wydarzenia z innej perspektywy.

Główne postaci w przypadku obu arców wypadają dokładnie tak, jak powinny, i budzą odpowiednie emocje. Big Macowi łatwo jest współczuć (nie bez błakającego się po twarzy uśmiechu!), gdy przez cały dzień prosty cel jego wyprawy do miasteczka ciągle mu się wymyka, po części także z powodu jego małomównego usposobienia. Shining Armorowi, pomimo pewności, iż jego starania zakończą się sukcesem, równie łatwo można kibicować, a jednocześnie kręcić głową na niektóre jego przesadzone lub nieporadne próby zdobycia ukochanej. Cadance nie przypada jedynie rola „trofeum”, o które walczą dwa ogiery, ale dostaje okazję na pokazanie pazura; jak można się tego spodziewać po książniczce, jest postacią, która wie, czego chce. Pozostali bohaterowie prezentują solidny poziom i wypadają bardzo serialowo... choć w przypadku postaci znanych z telewizyjnego show nie są one raczej dodatkowo ogłupiane (z wyjątkiem tych, których kanonicznie nie sposób nazwać tytanami intelektu), za co twórcom należy się pochwała. Tak trzymać!

Oczywiście nie wszystko jest piękne, ładne i różowe – historie nie są pozbawione kilku wad, choć są one raczej subiektywnej natury. Przygodom Big Maca zarzucić można przede wszystkim fakt, że niewiele wnoszą do szeroko pojętego uniwersum – czytelnik nie dowiaduje się z nich niczego, czego już by nie wiedział, i nie wszystkim taki

stan rzeczy może przypaść do gustu. Druga opowieść być może nieco zbyt silnie opiera się na nawiązaniach do lat 80. Nie wszyscy będą w stanie je rozpoznać (a już na pewno nie osoby, które są de facto właściwym odbiorcą kuco-komiksów, skąd my to znamy?), nie wszyscy też czerpią radość ze znajdowania ich. Bez tego elementu mamy do czynienia w gruncie rzeczy z dosyć schematycznym szkolnym romansem. Smaczki stają się mieczem obosiecznym, który zarówno podbija wartość historii, jak i równocześnie może pociągnąć ją na dno. Za drobną wadę można też uznać, hm... naciągane tło społeczno-obyczajowe? Opierając się na informacjach z serialu, ciężko uwierzyć, iż w prestiżowej canterlockiej szkole Tym Najpopularniejszym Gościem i Synem Kongreskuca (zaraz, oni tam mają Kongres?!) jest kuc ziemny. Canterlocka elita dała się już w końcu poznać jako grupa... cóż... dosyć homogeniczna. Delikatnie rzecz ujmując.

Podsumowując, obie historie prezentują naprawdę solidny poziom. Choć perypetii Big Maca nie można nazwać porywającymi, za urokliwe uchwycenie klimatu „zwykłych” odcinków serialu zasługują przynajmniej na ocenę 6, może nawet 7/10 dla wszystkich, którym nie przeszkadza ich przyziemność. Opowieść o początkach relacji Shining Armora i Cadance wypada pod tym kątem lepiej i w związku z wieloma przyjemnymi do wyłapywania nawiązaniem otrzymuje ocenę 8/10... która jednak dla niektórych może być obniżona nawet i do 6 punktów.

I to by było tyle! W kolejnym numerze na recenzencki warsztat trafi kolejny zestaw dwóch dwuzeszytowych historii, tym razem z większym przygodowo-awanturycznym zacięciem. A przynajmniej takie są plany.

Adios!





Wywiad z Rarity

MysticTime
www.forglorious.com

Hej, pierożki! Tym razem naszym gościem będzie Panienska Rarity. Jeśli jeszcze o niej nie słyszeliście, to pozwólcie, że Wam wyjaśnię kim ona właściwie jest. Otóż: mam przyjemność rozmowy z najwybitniejszą korektorką w polskim fandomie, która również tłumaczy odcinki MLP: FiM na nasz ojczysty język oraz pisze fanfiki. Niegdyś piastowała też funkcję administratorki na blogu For Glorious Equestria.

» *Cahan*

Cahan: Witaj, Rarity! Bardzo Ci dziękuję, że zgodziłaś się na ten wywiad. A teraz pozwól, że przejdę do rzeczy, bo od wprowadzenia mamy wstęp. Wiem, że jesteś pisarką, korektorką, tłumaczką, a także byłaś redaktorką FGE oraz osobą związaną ze SparkleSubs. Jesteś prawdziwą pegasis renesansu. Czy coś mi umknęło w kwestii Twoich fandomowych aktywności?

Rarity: Chyba nic, poza jednym, nieszczęsnym filmikiem na YouTube, który już na szczęście dawno z niego zniknął (była to kucykowa przeróbka piosenki Kolorowy Wiatr). Mogę tylko doprecyzować, że na FGE byłam administratorką, co łączyło się z większym wpływem na podejmowane na blogu decyzje.

C: Wybacz, mój błąd. A która z tych wszystkich ról w fandomie jest lub była Ci najbliższa i dlaczego?

R: To trudne pytanie, każda z tych aktywności daje lub dawała mi pewną satysfakcję i czegoś mnie nauczyła. Ale można powiedzieć, że najbardziej naturalna jest dla mnie korekta tekstów: poprawia(ła)m zarówno wpisy na blogu, fanfiki czy ich tłumaczenia, jak i napisy do odcinków.

C: Jak to się stało, że zostałam naczelną grammar nazi fandomu i jak to się przekłada na Twoje życie pozafandomowe?

R: Nie planowałam tego, a zaczęło się od poprawiania wpisów jeszcze na blogu For Glorious Zootopia, gdzie po raz pierwszy zaangażowałam się w jakąkolwiek internetową działalność. Potem dołączyłam do redakcji FGE, a tam poznałam Kredke, który wkręcił mnie w fanfiki. Zaś poprawianie błędów weszło mi w krew do tego stopnia, że będąc na urlopie w Paryżu i zwiedzając Panteon, zaznaczyłam literówki w polskiej wersji broszury dla turystów i oddałam ją jednemu z pracowników, prosząc, by je w przyszłości poprawili.

C: Nieźle. I bardzo dobrze, zważywszy na to, że robisz mi korekty. Ale czy miałaś takie korektorские zapędy wcześniej, w szkole? Fascynowała Cię poprawna polszczyzna?

R: Błędy zawsze mnie irytowały, ale nie, nie zajmowałam się korektami w czasach przed fandomem. Bardziej od polskiego podobała mi się matematyka, szczególnie w liceum, gdy gramatykę zastąpiły lektury.

C: Wracając do FGE, jak to się stało, że tam trafiłaś i zostałam adminką?

R: Jak już wspomniałam, pisałam na FGZ, założonym przez Mere Jumpa, twórcę FGE. Dzięki znajomości z nim poznałam na jednym z krakowskich meetów część redakcji bloga, kiedyś też w ramach żartu napisałam za niego Niedzielne Aktualności, więc administracja wiedziała, na co mnie stać. Jakis czas później, już po odejściu z FGZ, dałam się namówić na wstąpienie do redakcji.

C: A SparkleSubs? Jak zostałam tłumaczką?

R: Na discordowym serwerze FGE poznałam kilku członków ekipy SparkleSubs, którzy często podrzucali na bloga newsy. Gdy pod koniec siódmego sezonu kilka ostatnich odcinków pojawiło się równocześnie i było dużo do zrobienia, zgłosiłam chęć pomocy. Jak widać na tyle mi się spodobało, że zostałam do końca serialu. Można powiedzieć, że w moim przypadku jedna aktywność prowadzi do następnej: poznaję kogoś, angażuję się w coś, poznaję dzięki temu inne osoby i zaczynam także z nimi współpracować i tak dalej.

C: A fanfiki? Jak rozpoczęła się Twoja przygoda z opowiadaniem fanowskimi?

R: Czytałam je od początku bycia w fandomie, interesowało mnie wtedy chyba wszystko, co pojawiło się na FGE, bez względu na jakość. Z czasem zaczęłam zwracać na nią większą uwagę, moim źródłem opowiadań stało się też angielskojęzyczne Fimfiction. Do pisania z kolei zachęciły mnie osoby poznane w Klubie Konesera Polskiego Fanfika, między innymi Ty. Postanowiłam wziąć udział w jednym z forumowych konkursów literackich, a że go wygrałam, głupio mi było tej przygody nie kontynuować.

C: A które fanfiki lubisz najbardziej i dlaczego? Oraz które z powszechnie uznawanych za dobre nie przypadły Ci do gustu?

R: Z polskich opowiadań najbardziej podobały mi się „Wiedźma” oraz „Sześcioro” autorstwa Zodiaka, w których ujęły mnie przede wszystkim świetnie opisane postaci i relacje między nimi. Bardzo lubię też nieukończone jeszcze „Kruchość obsydianu” Ghatorra i Twój „Smak Arbuza”, które mam przyjemność poprawiać. (Pisać gamonie, żebym mogła pracować i dostawać w zamian pyszne Tobleronki!). Jak dobrze wiesz, nie jestem fanką „Fallout: Equestria”, które uznałam za dzieło mocno przereklamowane i pozbawione większej logiki, co opisałam w [artykule](#) na FGE.

C: Gamonie? Ale proszę mnie nie przezywać. Gamon jest tylko jeden. Przez duże „G” jak „Ghatorr”...
A jeśli chodzi o pisanie - doczekaliśmy się od Ciebie paru oneshotów. Jak je oceniasz i jakie są Twoje pisarskie plany na kolejny rok?

R: Wszystkie moje fanfiki zostały dobrze ocenione w konkursach, w których startowały, przyjmuję więc, że jak na fandomowe dzieła są całkiem przyzwoite. Mam napisane kolejne opowiadanie, które czeka na poprawki i publikację, jednak lenistwo jak na razie nie pozwala mi go skończyć. Dalsze plany mam dość sprecyzowane, chciałabym napisać serię o królowych Trixie, postaciach z „Wiedźmy”. Mam pomysły i notatki, ale jak na razie to tyle.

C: A jakie jest Twoje podejście do samego serialu? Co myślisz o tej całej dziewięciosezonowej przygodzie?

R: Zabrała mi sporą część życia, ale nieszczególnie tego żałuję. Często krytykowałam odcinki, brak logiki w światotworzeniu i zachowaniach głównych postaci, które jako dorosłe klacze postępowały niczym małe dzieci. Podobały mi się zmiany w serialu: dołączenie Starlight Glimmer do głównej obsady i pojawienie się w Ponyville Student Six.

C: Ulubiona postać z serialu? I czemu właściwie nazywasz się Rarity?

R: Najbardziej lubię Starlight, która ujęła mnie swoją inteligencją, sarkazmem i zdrowym rozsądkiem,



a z Trixie tworzy najlepszy serialowy duet. Z nią też utożsamiam się znacznie bardziej niż z Rarity, która wcześniej zajmowała u mnie najwyższe miejsce na podium. Mój pseudonim wziął się z tych właśnie czasów, gdy bez większego namysłu wpisałam „Rarity”, pragnąc opublikować komentarz na FGE. Pasował on wtedy do wybranego przeze mnie obrazka, który zresztą dalej jest moim avatarom. Gdy zaczęłam się angażować w działalność fandomową i parę osób mnie już znało, było nieco za późno na zmianę pseudonimu. Więc choć się go czasem wstydzę (szczególnie, gdy na przykład przedstawiam się komuś na meecie), to jednak zostanie ze mną już do śmierci fandomu.

C: Znamy się już trochę i osobiście uważam Cię za jedną z najbardziej normalnych i ogarniętych osób na tym kucykowym poletku. Jakie jest Twoje zdanie o fandomie MLP? Nie czujesz się tu czasem wyobcowana?

R: Myślę, że to wszystko kwestia tego, jak się trafi. Fandom jest częściami specyficzny i przyznaję, doprowadziłam do usunięcia jednego z discordowych serwerów, ponieważ miałam dość pilnowania jego użytkowników, co dalej wspominam z radością. Jednak zarówno w FGE, jak i w SparkleSubs miałam duże szczęście do współpracowników i nawiązałam

kilka ciekawych znajomości, podobnie zresztą jak w KKPF. Uważam, że po znalezieniu własnej niszy można czuć się w fandomie bardzo dobrze, trzeba jej tylko poszukać.

C: Fandom to też całe morze twórczości, a Ty niewątpliwie po nim żeglujesz. Ale czy poza fanfikami interesujesz się też innymi rodzajami fanowskiej sztuki? Arty? Animacje? A może muzyka?

R: Przeglądałam czasem arty, znam też najbardziej znane animacje, ale nie śledzę szczególnie ich twórców poza Round Tripem specjalizującym się w podsumowaniach odcinków. Na dysku komputera zalega mi trochę fandomowej muzyki z czasów mojego największego kucykowego entuzjazmu, ale już dawno do tego folderu nie zaglądałam, więc nie można powiedzieć o szczególnym zainteresowaniu.

C: Moje ptaszki mi wyćwierkały, że mam Cię męczyć o szczegóły pracy dla SparkleSubs. Powiedz mi jak tam u Was wygląda cały proces tłumaczenia odcinków? Jak się dzielicie, kto sprawdza, co z nadzorem? Mieliście jakieś zabawne wpadki, którymi chciałabyś się podzielić z naszymi czytelnikami?

R: Toż to materiał na zupełnie osobny wywiad!

C: Wprost przeciwnie, zrobimy wywiad, jakiego jeszcze nie było. To będzie wywiad długi jak bruzdogłowiec szeroki i ciekawy jak ewolucja ryb z rodziny pielęgnicowatych (którą naprawdę uważam za bardzo interesującą)! No to jak?

R: Tworzenie napisów składa się z dwóch głównych części: tłumaczenia i timingu, czyli wyznaczenia momentów, w których dany tekst powinien się pojawiać. Jeśli chodzi o tłumaczenie, to każdy odcinek dzielimy na dwuminutowe fragmenty i wpisujemy ich przekład do wspólnego dokumentu. Podział następuje na zasadzie kto pierwszy, ten lepszy, wedle dostępnego czasu i ochoty danej osoby (choć niektóre osoby mają ustalone górne limity). Oczywiście w efekcie są odcinki, które wywołują nasz nieszczególny entuzjazm i ich tłumaczenie trwa dłużej, ale trudno byłoby ustalać szczegółowy grafik i wymagać dostosowywania się od osób, które robią to za darmo, w swoim wolnym czasie. Za pierwszą korektę odpowiedzialna jestem ja, jest to oczywiście nie tylko sprawdzanie poprawności polskich zdań, ale także porównywanie ich z oryginałem, co zarówno dość długo trwa, jak



i nieco męczy. Później osoba przenosząca tłumaczenie z dokumentu do edytora napisów także je sprawdza, a następnie ktoś jeszcze raz ogląda całość. Mimo tych starań czasem zdarzają nam się pojedyncze błędy, jednak nie przypominam sobie żadnych szczególnie ciekawych. Oczywiście tłumaczeniu towarzyszą liczne dyskusje, czasem dotyczące poprawnej wersji danego wyrazu/zdania, czasem są to burze mózgow nad tłumaczeniem danej nazwy własnej lub tytułu, tutaj akurat kreatywnością często wykazuje się Niklas. Zdarza się, że dyskusje przeradzają się w sprzeczki, ale jest to moim zdaniem dobry znak – udowadnia, że zależy nam na tym, nad czym pracujemy, rezultat nie jest nam obojętny.

C: Brzmi ciekawie. Wasi odbiorcy raczej też Was sobie chwala. Ale chyba czas przejść do sekcji bardzo ważnych pytań, które powiedzą nam o Tobie wszystko. Rarity, co lubisz robić poza fandomem?

R: Jeździć konno, czytać książki, pić herbatę i jeść czekoladę oraz pizzę hawajską, niekoniecznie w tym samym momencie.

C: Pizza hawajska, szanuję. Jakie książki czytasz?

R: Od czasów nastoletnich najczęściej sięgam po fantastykę, choć czasem natchodzi mnie ambicja i postanawiam przeczytać coś z klasyki, z czym później męczę się przez miesiąc, jak na przykład ostatnio z „Nędznikami”.

C: A jeśli chodzi o fantastykę, to jacy są Twoi ulubieni pisarze? Może byś coś poleciła naszym czytelnikom?

R: Nie wiem, czy mam jakiegoś ulubionego pisarza bądź pisarkę, ale żeby nie polecać Tolkiena, wspomnę o autorkach z Europy Wschodniej. Olga Gromyko, Aleksandra Ruda czy Karina Pjankowa piszą bardzo sympatyczne powieści, w których wielorasowe postaci przeżywają wyjątkowo zabawne przygody, gwarantując czytelnikowi dużo śmiechu.

C: Czyli wolisz raczej lżejszą i bardziej humorystyczną fantastykę, tak?

R: Nie do końca, czytam i taką, i taką, ale w tej chwili akurat przypomniałam sobie o tych autorach. Na pewno lubię, gdy w powieści występują różne rasy, nie tylko elfy i krasnoludy, ale i inne, bardziej oryginalne ludy.

C: A jaka jest Twoja ulubiona rasa?

R: Jednorożce! Choć nie o kucyki pytałaś, więc elfy. Choć widzę między nimi spore podobieństwo. Poza tym ciekawią mnie zawsze wampiry, które każdy autor przedstawia zupełnie inaczej, dając im zupełnie inne zdolności i zazwyczaj śmiejąc się z innych znanych nam cech krwiopijców, które z kolei opisuje jako wierzenia ciemnoty.

C: Wampirów się nie spodziewałam. Dobrze, czas na ostatnie pytanie. Czy chciałabyś coś powiedzieć naszym czytelnikom?

R: Używajcie przecinków!

C: I to by chyba było na tyle... Jeszcze raz dziękuję, Rarity, że zgodziłaś się z nami porozmawiać.

R: Cała przyjemność po mojej stronie.





Queen's Wish

Zrodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciach i postać kontrolowana przez gracza w Queen's Wish coś o tym wie - od razu na początku dnia zostaje wyciągnięta siłą z łóżka, brat w ramach żartu zrzuca na nią wielkiego, magicznego pająka, a matka każe spadać na inny kontynent, by go zmusić do posłuszeństwa wielkiemu imperium Haven. Taaak, ciężko jest być najmłodszym synem cesarzowej!

» *Ghatorr*

Spiderweb Software to fascynujące, malutkie, niezależne studio. Działają już od 1994 roku, regularnie wypuszczając brzydkie (jak przyznaje sam szef), ale wypełnione ciekawymi rozwiązaniami gry fabularne, pakując w każdą sporo zawartości, wiele ścieżek fabularnych do wyboru i ogólnie dbając o to, by gracze mieli co robić. Przez te wszystkie lata istnienia zdołali wydać kilka serii, takich jak Avernum, Geneforge czy Avadon, zyskując przy tym niewielkie, ale wierne grono fanów. Ostatnia gra studia, Queen's Wish: The Conqueror, nie różni się znacząco od reszty dzieł, choć wprowadza kilka bardzo ciekawych pomysłów i rozwiązań mających ułatwić graczowi rozgrywkę.

Wstęp do gry jest banalnie prosty. Wcielamy się w najmłodszego syna cesarzowej Haven, potężnego kraju który kontroluje spory kawałek świata, wymuszając na wielu słabszych krajach traktaty wasalne i inne umowy mające zmusić je do posłuszeństwa. Pewnego pięknego dnia nasz bohater dowiaduje

się, że nadszedł koniec zbijania bąków - zamiast tego dostaje trochę sprzętu, na poprawę humoru zostaje poklepany po plecach przez starszego brata, po czym wrzucony do magicznego portalu prowadzącego na wyspę Sacramentum, na której mieści się zrujnowana kolonia Haven i trzy państwa wasalne, które niegdyś służyły Imperium. Wyspa jak wyspa, ale wyróżnia ją to, że niedługo po zjednoczeniu jej przez matkę głównego bohatera, nawiedził ją potężny magiczny kataklizm, przez który potężne Haven podkuliło ogon i uciekło. Teraz powraca, w glorii i chwale, a naszym zadaniem jest przewodniczenie odrodzonej kolonii, przypomnienie nieposłusznym wasalom, że za ignorowanie traktatów wasalnych dostaje się pięścią w twarz oraz (najlepiej) zorientowanie się, co było przyczyną katastrofy.



Niby mamy jakichś żołnierzy pod swoją kontrolą, ale w większości wypadków są oni na tyle nieliczni, że do akcji wchodzi dopiero po tym jak ich ukończony książe odpowiednio oczyści im drogę i najlepiej zapewni silnych sojuszników w okolicy, więc ostatecznie trzeba wszystko robić własnoręcznie. Do kitu z takim feudalizmem! Na szczęście praktycznie każdy z byłych krajów klienckich Imperium znajduje się na skraju upadku - jedni barbarzyńcy przestali akceptować władzę swojego króla, przez co kilka klanów bierze się u nich za łby, u innych trwa ogromne powstanie niewolników, a w trzecim pospólstwo zaczyna przebąkiwać, że oddawanie władzy jednostkom, które są najbardziej szalone nie jest najlepszym systemem rządów. Daje to naszemu księżątce sporo okazji do knucia, wbijania noży w plecy i budowania nowego, lepszego Sacramentum, używając krwi przegranych jako zaprawy murarskiej.

W trakcie rozgrywki zwiedzamy całkiem sporą wyspę, mającą jednak prostą budowę - w środku znajduje się nasza była kolonia, a w trzech rogach mapy tkwią byli wasale. Co więcej, każdy z wasali ma w środku swoich terenów jakąś twierdzę, zamek czy inną przeszkodę, która oddziela od siebie tereny mniej lub bardziej niebezpieczne. W ramach eksploracji prowadzimy sporo rozmów mających znaczenie dla fabuły oraz tego jak postrzegana jest nasza postać, od czasu do czasu w walce turowej spuszcza komuś łomot oraz zarządzamy kontrolowanymi ziemiami. Po całym Sacramentum rozsiano forty, stanowiące centrum władzy imperialnej, oraz kopalnie które dostarczają graczowi potrzebnych zasobów. W zamian za zasoby możemy ulepszać forty, dzięki czemu te dostarczają nam lepszy sprzęt, redukują poziom bandytyzmu na drogach (który może zmniejszyć przychody z podbitych ziem) albo pozwalają... na przedwczesny powrót do domu (dzięki czemu można przedwcześnie zakończyć grę po powiedzeniu matce prosto w twarz że Sacramentum jest brudne, brzydkie, a ona jest głupia że nas tam wysłała).

Rozbudowa fortów sprawia, że elementy zbieractwa tracą w większości sens - nieważne co znajdziemy, w jednej z naszych baz będziemy w stanie prędzej czy później to wytworzyć same-

mu, od razu dokładając do tego takie ulepszenia jakie chcemy. Nie jest to wada - ekwipunek stanowi daje nam zaledwie kilka bonusów do statystyk, o pięknych opisach przedmiotów rodem z Dark Souls nie ma mowy. Nie jest to jedyne rozwiązanie które może zaskakiwać, ale ma na celu przyspieszenie tempa rozgrywki - każde miejsce, które odkrywamy, umożliwia szybką podróż, w bazach możemy dowolnie zmieniać umiejętności postaci, wszyscy wojownicy jakich posiadamy w drużynie (których sami tworzymy) zdobywają doświadczenie nawet jeśli nie towarzyszą graczowi... Wszystko to sprawia, że gra, mimo bardzo old-schoolowego klimatu, jest o wiele szybsza od starych RPGów. O ile gracz sam tego nie chce, nie musi marnować nawet chwili na niepotrzebne łażenie po wyspie, a wszelkie problemy wynikające z niedopasowania drużyny do wyzwań można naprawić przez ponowne rozmieszczenie punktów rozwoju.

Grafika jest... No, jest - i to najlepsza rzecz jaką można o niej powiedzieć. Na początku bardzo ubogie otoczenie może dezorientować zanim gracz zorientuje się, jakie identycznie wyglądające obiekty są zawsze interaktywne. Nie ma tu żadnych wspaniałych widoków do podziwiania, postacie poruszają się w sposób, który każe podejrzewać że ciężko chorują... Podobnie uboga jest oprawa dźwiękowa, nie usłyszymy tu choćby pół słowa nagranych dialogów, a muzyka znika z pamięci zaraz po wyłączeniu gry.

Czy mogę polecić z czystym sercem Queen's Wish? Powiedziałbym nawet, że muszę - chociażby z czystego podziwu dla twórców, którzy po tylu latach ciągle tworzą gry, które ośmielają się być brzydkie, eksperymentować z mechanikami i oferować graczom rozgrywkę, która po prostu będzie przyjemna i wypełniona ciekawymi wyborami. Bawiłem się przy tej grze zaskakująco nieźle, choć na razie nie mam ochoty do niej wracać by zobaczyć jak wyglądałoby Sacramentum, gdybym wsparł inne frakcje. Co najwyżej polecam poczekać na obniżkę cen - na razie cena premierowa jest nieco za wysoka...



Recenzja - Kraina Lodu 2

Kraina lodu 2 to sequel hitowego filmu animowanego produkcji Disneya z 2013 roku. Czy kontynuacja jest lepsza, czy gorsza od oryginału? A może obie trzymają równy poziom? O tym dowiedzie się z podwójnej recenzji autorstwa Gray Picture i Sosny.

Ogólne Wrażenia

Sosna: Film mi się podobał. Co prawda na tle oryginału wypadła moim zdaniem nieco słabiej, jednak nie zmienia to faktu, że nadal jest to bardzo dobry film. Jedyne, co mi mocno nie siedziało to fakt, iż końcówka pędziła zbyt szybko w stosunku do tempa narzuconego przez resztę filmu. Po prostu niezbyt mi się to zgrywało, pomimo tego, że całość była dość spójna.

Gray: Ogólnie, film całkiem mi się podobał. Choć wypadł zdecydowanie gorzej niż oryginał. Disney nie umie w sequele. Jako samodzielny twór, byłaby to całkiem fajna animacja, ale jakby nie patrzeć, jest to kontynuacja, więc oczekiwałam czegoś w podobnym klimacie jak pierwsza część, a niestety nie dostałam czegoś takiego. Szkoda.

Fabula

Sosna: Fabularnie jest niezłe. Wystarczająco magicznie i mroźno, by można było uznać film za pełnoprawną kontynuację, jest też trochę mroczno i śmieszno, aczkolwiek jest to w miarę zbalansowane, żeby nadal był to film dla dzieci i trochę starszych ludzi. Ogółem mam wrażenie, że jest dużo smutniej i mroczniej niż było w pierwszej części, przez co film wydaje się być skierowany do nieco starszej widowni, niż oryginał. Moim zdaniem fabuła jest napisana lepiej niż w części pierwszej także pod kątem kreacji postaci.

Gray: Najpierw zacznę od obojętnego narzekanka, jakim (samozwańcza) naczelna maruda Equestria Times. Pierwszą i najważniejszą rzeczą, do której czuję potrzebę się przyczepić, jest to, że fabuła ma bardzo nierówne tempo. Początek, samo pojawienie się problemu i decyzja wyruszenia ma

misję dzieją się dość szybko, potem akcja bardzo zwalnia, a sama już końcówka ma tempo konia wyścigowego. Jednak poza tym, przyjemnie się ogląda. Wydaje się, że scenariusz był napisany pod dzieci odrobinę starsze, niż przy pierwszej części. Co osobiście uznałabym za zaletę. Oprócz tego znalazło się miejsce na odpowiednią ilość „śmieszków”.



Postacie

Sosna: Jako, że jest to kontynuacja, powracają postacie z poprzedniej części, ale pojawia się też kilka nowych. Postacie powracające nieco się rozwinęły w stosunku do oryginału. I tak mamy nieco bardziej dojrzałą Elbę, Anna też stała się bardziej dojrzała. Olaf o dziwo trochę mniej mnie irytował niż w pierwowzorze. Mieszane odczucia mam co do kierunku w jakim poszedł rozwój Kristofa. Stał się jakby bardziej fajtłapowaty niż w pierwszej części i ogólnie jakoś dziwnie się go oglądało podczas jego prób oświadczeń, które ciągną się przez cały film. Natomiast co do nowych postaci, jeżeli chodzi o ludzi, mogę powiedzieć o nich tyle dobrego, że są i niezbyt przeszkadzają protagonistom. Są na tyle nijakie, że ciężko mi o nich cokolwiek konkretnego powiedzieć. Równie dobrze mogłoby ich nie być, a film by na tym ani nie zyskał, ani nie stracił. Podobają mi się natomiast wprowadzone w tej części postacie magiczne, zwane duchami. Nie wypowiadają co prawda ani jednego słowa, jednak sposób ich przedstawienia jest rewelacyjny.

Gray: Mamy kilka nowych postaci oraz oczywiście te „stare”, znane z poprzedniej części. Jeżeli chodzi o te nowe, to ciężko powiedzieć o nich trochę więcej, niż że były w tym filmie. Robiły raczej za tło do odgrywających się wydarzeń, niż były pełnoprawnymi postaciami. A jeżeli chodzi o postacie znane już z pierwszej części, to Anna, Elsa i Olaf wydorosleli od poprzedniej części. Podoba mi się, jak twórcy podeszli do rozwinięcia charakteru Elsy. Całkiem dobrze pokazali jej relacje z siostrą, ile ona dla niej znaczy oraz to, że boi i się, że może popsuć to, co między nimi. Szczerze mówiąc, jest to według mnie jedna z największych zalet tego filmu. Natomiast bawił mnie ten dojrzały Olaf. Takie zachowanie w połączeniu w jego zwyczajnym byciem nie za mądrym bałwankiem, było dość śmieszne. Choć może taki miał być zamysł.

Dźwięk i Animacja

Sosna: Pod względem czyisto technicznym film jest najwyższą półką animacji. Choćbym chciał się przychylić to zwyczajnie nie mogę, bo wszystko wygląda wręcz rewelacyjnie. Piosenki są dobre, jednak moim zdaniem żadna nie przebija, ani nawet

dorównuje „Mam tę moc” (ang. „Let it go”) z oryginału. Co do dubbingu, to ekipa odpowiedzialna za polskie udźwiękowanie postaci wykonała świetną robotę, co prawda musiałem się przez chwilę przyzwyczaić do tego, że postacie mówią po polsku (pierwszej części z dubbingiem nie widziałem), ale bardzo szybko przestało to być problemem. Więcej uwag, co do strony technicznej nie mam.

Gray: Jeżeli chodzi o sam wygląd animacji, to absolutnie nie ma się do czego przychylić. Jest ślicznie, ładnie, a reniferki są odpowiednio puchate. Ale to Disney, od firmy tak bogatej, oczekuje się animacji na najwyższym poziomie i taką właśnie zrobili. Gorzej niż w pierwszej części wypadają piosenki. Nie są złe, ale na pewno nie są też tak wpadające w ucho jak tamte.

Jak wypada na tle oryginału

Sosna: Oryginał bardzo lubię i wracam dość regularnie, żeby sobie go po prostu odświeżyć. Sequel natomiast na tle oryginału wypada nierówno, raz jest lepiej, niż w oryginale, raz nieco gorzej. To tego filmu też chętnie wrócę, aczkolwiek mam wrażenie, że w przypadku Krainy Lodu 2 trochę mocno goniły terminy, przez co zabrakło trochę czasu na doszlifowanie produkcji.

Gray: Też bardzo lubię oryginał. Myślę, że jest to nawet moja ulubiona bajka z tych nowszych od Disneya. Sequel był całkiem fajny, ale jak już mówiłam, ostatecznie wypada gorzej niż oryginał. A szkoda, ponieważ miał duży potencjał. Ale za jakiś czas pewnie do niego wrócę i z przyjemnością obejrzę jeszcze raz.



NOWY RO(C)K...?

BY PORCELANOWY OKULAR

